ŁOWIEC POLSKI



„Jeszcze ciągną" *rys. K. Tarnowski*

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (953) **Kwiecień — 1948 r.** **Cena zł 50**

Powszechny Zakład Ubezpieczeń Wzajemnych w Warszawie

zwrócił się do Polskiego Związku z niżej zamieszczoną ofertą. Kolegów-myśliwych, doceniających potrzebę zbiorowego ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej, prosimy zgłaszać swą gotowość do udziału w nim do Wojewódzkich Rad Łowieckich.

Dotyczy: ubezpieczenia myśliwych od odpowiedzialności cywilnej.

Z uwagi na to, że odpowiedzialność cywilno-prawna myśliwych za uszkodzenie cielesne osób oraz za uszkodzenie mienia osób trzecich jest bardzo rozległa i odszkodowania przysądzone w drodze procesowej lub ugodzone w drodze polubownej wyrażają się w bardzo poważnych sumach, pozwalamy sobie — zgodnie z listem Związku z dniem 7 b. m-ca Nr. 23/I/48. — zaproponować zawarcie ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej w charakterze myśliwych.

Na podstawie tego rodzaju ubezpieczenia przyjmujemy zobowiązanie do zaspokojenia w granicach sum gwarancyjnych — pretensyj prawno-prywatnych z powodu uszkodzenia osób trzecich lub cudzej własności, za które ubezpieczony myśliwy jest odpowiedzialny w myśl przepisów prawnych.

Ponadto objęte są ubezpieczeniem koszty sądowe i pozasądowe obrony prawnej, ustanowionej przez n/Zakład w celu przeciwdziałania nieuzasadnionym lub wygórowanym roszczeniom cywilnym osób trzecich, jak również koszty obrony prawnej w procesie karnym, który może dać podstawę do uzasadnienia roszczeń objętych umową ubezpieczenia.

Składka roczna zasadnicza za powyższe ubezpieczenie przy sumach gwarancyjnych:

Zł. 750.000.— za uszkodzenie kilku osób, jednak nie więcej jak
„ 250.000.— za uszkodzenie jednej osoby i nie więcej jak
„ 75.000.— za uszkodzenie cudzej własności przez jeden wypadek wynosi:

za każdego myśliwego po	Zł. 500.—
za łowczego i niższą służbę łowiecką z włączeniem odpowiedzialności jako myśliwych po	„ 300.—
za każdego psa do polowania po . . .	„ 200.—

za włączenie odpowiedzialności z tytułu urządzania polowań także z naganką doliczamy 25% dodatku składki obliczonej za myśliwego, łowczego itp.

Poza tym w zależności od ilości i sposobu ubezpieczenia PP. Członków myśliwych, Zakład gotów jest udzielić Polskiemu Związkowi Łowieckiemu od składek zasadniczych następujących ustępstw:

1) gdyby Polski Związek Łowiecki zawarł jedno ogólne ubezpieczenie, obejmujące wszystkich członków (ca 20.000). 60%
2) w wypadku nałożenia obowiązku ubezpieczenia na poszczególne kółka myśliwskie (ca 400), ... 50%
3) przy nałożeniu obowiązku ubezpieczenia na poszczególnych myśliwych . . . 30%
4) w razie poparcia powyższego ubezpieczenia przez Związek **tylko w formie odpowiedniego pisma polecającego do wszystkich kółek** 10%

Do powyższych składek doliczamy polisowe i porto w/g norm obowiązujących.

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 4 (953) 1948 Kwiecień



„Kacze uroczysko" *fot. W. Puchalski.*

W NIZINNEJ PUSZCZY

Po trzech latach poszukiwań zostały przez Redakcję „Łowca Polskiego", za pośrednictwem kol. K. Świderskiego, odnalezione notatki i zapiski kreślone ręką W. W. Garczyńskiego, długoletniego Redaktora naszego pisma, które stanowią fragmenty pracy p. t. „Współczesne łowiectwo". Tworzeniu tego na dużą skalę zakrojonego dzieła autor, jeden z największych pisarzy łowieckich, myśliwych i przyrodników, poświęcił ostatnie lata swego życia podczas okupacji. Czy da się odtworzyć całość pracy ze strzępów rękopisu — niewiadomo.

W każdym razie dziś w związku ze Świętem Lasu możemy podać drukiem opis puszczy, mówiący lepiej niż wszystkie odezwy, plakaty czy odczyty o tym, jak prawdziwy myśliwy kocha, rozumie i potrafi odczuwać piękno naszych polskich lasów.

Z luźnych kartek, nadpalonych maszynopisów i nie bardzo czytelnych zwilgotniałych stron udało mi się opracować poniższy fragment.

Zbigniew Kowalski.

Nasze puszczańskie łowiska nizinne znam od czterdziestu lat. Przemierzyłem piechotą sam jeden tysiące kilometrów dróg, ścieżyn i ścieżynek z kompasem jedynie i z mapką terenową w ręku. W puszczach Bersztańskiej, Jezioroskiej, Augustowskiej, Ladzkiej, a nadewszystko Białowieskiej, niema uroczyska, niema kąta choćby najbardziej niedostępnego i dzikiego, w którym bym nie był częstokroć wiele, wiele razy.

Puszcze nasze zrobiły ze mnie prawdziwego myśliwego, nauczyły kochać bezgranicznie przyrodę, dały niezwykłą wytrwałość na wszelkie trudy fizyczne, nauczyły wiary we własne siły i zaprawiły do nieuznawania żadnych przeszkód.

Przejdźmy się przez puszczę, rozejrzyjmy się w jej szacie roślinnej i glebie, postarajmy się wniknąć w jej tajemnice, zobaczmy zwierza, który ją zamieszkuje, posłuchajmy śpiewu ptactwa w koronach jej drzew, spróbujmy poznać puszczańskie drzewostany.

*

Jest późne lato roku 1922-go, kwateruję na gajówce w Nadleśnictwie Browskim w Puszczy Białowieskiej. Słońce świeci od samego rana jaskrawo, niebo błękitnieje aż oczy bolą.

To też jak codzień ruszam w daleką wędrówkę po lesie, ruszam bez planu, gdzie oczy i nogi poniosą.

Tuż za obejściem zaczyna się sosnowy dobrze podszyty jałowcem suchy bór. Ścieżka spada gwałtownie w dół ku łąkom, ciągnącym się parusetmetrowym pasem wzdłuż obu brzegów puszczańskiej rzeki. Rzeka nazywa się Hwoźna, ale w każdej puszczy charakter tych rzek czy rzeczółek będzie zupełnie podobny. Wszędzie biorą one początek swój w najgłębszych matecznikach, służąc odpływowi dla gromadzących się na powierzchni puszczy wód i przyjmując jako dopływy wszystkie śródleśne strumienie, ruczaje i kanały.

Woda płynie w Hwoźnej leniwie, niezdecydowanie. Często bowiem zdaża się, że w puszczańskich rzekach od pewnego punktu woda rozdziela się w dwóch kierunkach, w jednym nazywając się, naprzykład Kotrą, w drugim Ułą. W puszczy Białowieskiej Jasiołda, tryskająca z bagien Nikoru, spływa aż do morza Czarnego, Narew aż do Bałtyku.

Woda na Hwoźnej płynie więc leniwo, tworząc szereg ok — zawodzi, wyrwanych przez wiosenne wiry, i niegłębokich brodów, pozwalających na przedostanie się na jej drugą stronę.

Brzegi porośnięte są gęstą łozą, trzciną lub szuwarem, rzadziej rogożą, stanowią miejsca lęgowe nielicznych krzyżówek, płaskonosów czy cyranek.

Łąki, ciągnące się zieloną wstęgą wzdłuż modrej rzeki, pokrywa różnorodna roślinność. Miejsca bardziej bagniste i torfiaste porośnięte są mchem oraz kwaśnemi a ostremi trawami i znaczone tu i tam plamą rudego grząskiego błota. Miejsca wyższe o lepszej glebie okrywają słodkie, szlachetne gatunki traw i rzadkie olchowe krzaki.

Łąki międzyleśne, ciągnące się nieraz na kilka dziesiątków kilometrów wśród lasów puszczańskich, stanowią odrębny świat fauny skrzydlatej.

Siedliskiem kszyków i kurek wodnych są rudawizny, dubelta i derkacza wyższe i suchsze ocienione krzewami łęgi. Na piasku nadbrzeża tokują wiosną gromadki batalionów, wysoko ponad rzeką królują w powietrzu zataczające koła i kwilące orliki.

Przejście od łąk do właściwej puszczy stanowią zarośla olszowe przemięszane w miarę podwyższania się gruntu z pojedyńczymi lub rosnącymi po kilka świerkami, brzozami bądź osikami.

Miejsce to dobrych ciągów słonek, lubiących wałęsać się po pobrzeżach lasu, i młodych cietrzewi, kryjących się w ciągu dnia w gęstych olszynach, z których krok jeden do przyległych łąk, miejsca żeru o świcie i zachodzie.

Po niedługim czasie wydobywam się z olszyn i świerków. Znów ogarnia mnie sosnowy bór. Gdzie gleba całkiem sucha i piaszczysta, runo leśne stanowią kruche płowe trawy i ogromne połacie wrzosów, nad którymi brzęczą zalatujące z odległych o kilometry barci pszczoły, gdzie nieco wilgotniej — wkraczam w królestwo czernic i borówek.

Między rudawemi pniami sosen zabieleje czasem białokora brzoza, lub ukaże się siwy pień osiki, a gdy jeszcze dalej zagłębię się w knieję, a grunt stanie się mokrawy, miejsce czernic i brusznic zastąpi bahun, wśród którego czasem ukaże się osypany sinemi jagodami krzak pijanic.

Nikną brzozy i osiki, niknie wogóle drzewostan liściasty, wokół czerwienią się proste jak strzały pnie kilkumetrowych, różnowiecznych



„Tokowisko” — rys. S. Rozwadowski

sosenek. Orzeźwia mnie przenikliwa i przyjemna woń roztartego stopami bahunu, wilgocią pociąga od ziemi. Duszę myśliwego ogarnia mistyczny nastrój wspomnień.

Bo takie rojstowe partie lasu nie mają pór roku, zawsze, poza śnieżystą zimą, są takie same, zawsze przywodzą na pamięć urok toków głuszcowych. Podrapany w wielu miejscach w poszukiwaniu żórawin mech zdradza mi obecność tych królewskich ptaków.

Choć wody niezbyt jest dużo po takich rojstach, to chodzenie jest mocno uciążliwe, gdyż nogi grzęzną w miękkich jak poduszki mchach, a potem zaczynają zapadać się coraz głębiej, przerywając się nieraz aż wyżej łydki. To stopa trafiła najwidoczniej w ślad łosia, stwierdzający, że potężny rogal nie tak bardzo znowu chodzi po powierzchni bagna.

Woda tymczasem staje się coraz głębsza, coraz jej więcej. Nikną sosny i karłowate brzózki, niknie mech, a na ich miejsce występują, leżące jedna obok drugiej, kępy i kępy, porosłe trawami i silnie rozkrzewioną łoziną. Droga dalsza jest trudna, gałęzie łozy tamują ruch, woda sięga nieraz poza kolana.

W miejscach, gdzie nieco suszej i gdzie kępy porośnięte są wysoką trzciną, wilki lubią zakładać swoje gniazda, a gdzie woda chowa się pod chybotliwy kożuch mchów i żórawin i gdzie wykwitają ponad moczarem grubości ręki pojedyńcze, bagienne sosenki, płoszę parę dostojnie podrywających się żórawi.

Po ciężkim, męczącym, choć zaledwie kilkuminutowym marszu po mchu, zaszkliło się przed moimi oczami srebrzyste jeziorko. Podchodzę bliżej. Jeziorko jest niezarośnięte, gołe, ot jakby ktoś nalał wody prosto na mszar. Sterczą z wody karłowate obumarłe sosenki, plączą się jakieś patyki, zeschłe gałęzie i cienkie trawy. Oko nie sięga dna tych jeziorek, wszystkie są czarne nie-

miłą głębią. Zamieszkuje je tylko wyłącznie nieliczny okoń.

W upalne dni gorąco i duszno bywa nad takimi zbiornikami wody i prawie zawsze pusto. Jedynie jesienią przelotne wielkie stado kaczek potrafi zapaść na niegościnnych falach na odpoczynek.

Okrążyłem jeziorko dokoła, wreszcie, och wreszcie, czuję pod nogami stały grunt. Szybko mijam gąszcz samosiewek sosnowych i różnego wieku brzózki.

Teraz wyrasta, zamyka mi drogę gęsta ściana starych brodatych świerków. Pozbawione całkowicie dostępu światła niknie w ich cieniu wszelkie runo leśne. Spodem leżą przegniłe igły i gałęzie, czasem też grube, obrosłe mchem zbutwiałe kłody, zwalonych przez wichry świerków olbrzymów.

Ale drzewo padające potrzaskało doszczętnie otaczające je pnie i światło słoneczne uzyskało dostęp do ziemi, to też zaraz pokazały się na halawce krzewy i paprocie, a trup praojca pokryła nalotem, gęstym jak szczotka, młodzież świerkowa.

Lecz naogół ciemno jest między pniami i uroczyście, a nastrój ten potęguje przedpotopowa, o ciężkim garbonosym łbie sylweta łosia, który często lubi stać w takim ostępie latem i jesienią. Nieraz też zaburczy w gałęziach jarząbek, i on bowiem uważa te miejsca za swą odwieczną ojcowiznę.

Chłopi puszczańscy zwą takie mroczne, piwniczne uroczysko „jelenikiem" lub „jełowym grudem".

Z gąszczu świerkowego, jak z dostojnej katedry, wychodzimy na miejsca widniejsze, przejrzyste.

Tu świerk nie rozpanoszył się już nadmiernie i nie zaciemnił całkowicie ziemi, tu obok szarych, skrytych żywicowemi naciekami pni świerkowych dostrzegam już wiekowe osiki, czasem leszczynę lub jarzębinę.

Świerki giną, rozchodzą się i rozstępują, jeszcze gdzieniegdzie pnie się ku niebu zielona, trzydziesto metrowa piramida, ale coraz bardziej wysokopienna osika i olcha wypierają drzewa szpilkowe.

Grunt staje się torfiasty, czarny, w lata mokre chlupoce pod nogami woda, w suche — torf między kępami wysycha, pęka, robi się lśniąco-brunatny, elastyczny, chodzi się po nim jak po kauczukowym chodniku.

Jeżeli lato nie jest zbyt mokre, na brzegach takich olsów lubią żerować stadka młodych głuszców, a po kępach zatrzymywać się łosie i sarny, których wygniecione legowiska świadczą o niedawnym pobycie zwierza.

Brnę dalej przez ols, naprzełaj i tak, jak zaczynał się on, tak i kończy się „jełowym grudem", za którym znów króluje sosnowy, gonny las.

Obraz tu weselszy. Sosny są grube, gładkie, o spękanej szerokiemi płatami korze, pną się na 25 i 28 metrów ku niebu. Dogania je miejscami w wysokości jesion i lipa, a wyprzedza pięknością i bujnością dąb.

Sosnowy nalot występuje tu kępami jako drugie piętro lasu, gdzieniegdzie zieleni się pięknie wyrośnięty, jakby strzyżony w kopulastą formę, jałowiec.

Z gęstej kępy takiej młodej sośniny wyjedzie nieraz z fukaniem odyniec albo zatętni kraśny jeleń. Pod jałowcem znajdziemy nieraz wydrapane legowisko rogacza i obdartą z kory parostkami samotną sosenkę.

Znów halizna prześwituje przez drzewa. To błotnista łąka — hał, która ciągnie się półkilometrowym pasem między lasami na znacznej nieraz długości.

Przejście takiej łąki nie jest wcale łatwe, grunt przerywa się pod nogami, woda chlupie, przy samym brzegu zapadam się po uda. Trawa na łące licha, kwaśna, poprzerastana mchem.— „Hał" jest to najniższe miejsce wśród bagien, gdzie skutkiem nadmiaru wilgoci porost drzew, a nawet krzewów zupełnie ustał.

Szybko opuszczam niegościnne i puste łączyska.

Trzeba chwilę odpocząć w sposobnym miejscu na grudzie. Grud — piaszczysta górka, przeważnie podłużnego kształtu, występuje jak wyspa pośród bagnistych lasów i hałów. Środkiem grudu ciągnie się niezmiennie, niewiadomo przez kogo i kiedy wydeptana ścieżynka. Nieodmiennie też spotykamy tam kąpieliska piaskowe głuszców, cietrzewi i jarząbków, a pod starą sosną żółcą się otwory jam lisich czy borsuczych.

Na grudzie znaleźć można często ślady prymitywnego puszczańskiego życia, jakieś zbutwiałe resztki szałasu, dołek wykopany w piasku z zdziebłem czystej wody na dnie i z porzuconym na ziemi czerpakiem, sporządzonym z brzozowej kory.

Wegetacja na grudzie jest bujna, pomimo piaszczystej i zdawało by się ubogiej gleby. Bujność tę powoduje nadmiar zebranej w ziemi od wieków próchnicy i więcej niż dostateczna wilgotność dokoła.

To też pod nogami ścielą się całe morgi konwalii i łany wysokich po pas paproci. Jagód, młodniaków sosnowych, i innych drzew i krzewów też nie brak jest na grudzie. Nie brak też drobnej, jakże licznej fauny puszczańskiej, przegwizdują tysiączne ptaki po drzewach, wiewiórki oskubują szyszki z szelestem, tumak przepływa po konarach sosen, niby leśny duszek. Słonko kłoni się lekko ku zachodowi, z hałów pociąga przedwieczorny wiatr. Należy wracać ku gajówce, droga będzie zdaje się daleka. Podnoszę się z żalem z ziemi. Znów prześwituje przez sztachetę drzew gołaźń leśna. To szeroki dukt, słupy telegraficzne, sina linia szyn, biegnących ku Hajnówce, a dalej składnica drzewa z bijącą spośród sągów nitką dymu z ogniska ku niebu.

Wędrówka moja na dzisiaj jest skończona.

W. W. Garczyński.

B A R S

Wbrew temu, co twierdzi Genesis o 6 dniach tworzenia świata — podanie koreańskie głosi, że Bóg dokonał tego dzieła w jedną dobę.

To też pod wieczór dnia onego bardzo się zmęczył. Nie tyle miał trudu z ustanawianiem wszelakiego ładu na olbrzymich obszarach i z mądrym rozdziałem przeróżnych dóbr, którymi je obdarzał — najwięcej kłopotu sprawiał mu zastęp pomniejszych, a podwładnych mu bogów, dobrych duchów poszczególnych krain. Każdy z nich zabiegał u Pana nad Pany o jak najszczodrzejsze dary dla swojej domeny; musiał spory ich rozstrzygać i mądrze szafować z Rogu Obfitości, by już wówczas posiadanego tytułu Sprawiedliwego nie narazić na szwank.

Im większy kraj — tym wielmożniejszego miał orędownika w ów pamiętny dzień na niebie.

W boskim orszaku dobrych duchów ostatnim stał opiekun małego kraiku Ussuri. Martwił się on cały dzień myślą, że Róg Obfitości może się wyczerpać, lub zawierać marne resztki, gdy jego kolej przyjdzie odbierać sprawiedliwie mu należne.

Już słońce, po raz pierwszy po swym stworzeniu świecące, zaszło było i zapadał zmrok, gdy z namiotu Najwyższego, zdobnego w gwiazdy i nów księżyca, wyszedł przedostatni zastępca. Przerażony dobry duch kraju Ussuri zastał Stwórcę śpiącego, a straż Rogu Obfitości — krzątającą się przy zawieraniu pokrywy. Z trudem zdołał on obudzić Władcę Świata, który mu rzekł: „Zabierz wszystko, co w Rogu pozostało” i skinął na straż, by opróżniła Róg do reszty, oddając wszystkie, nie rozdane jeszcze skarby, ostatniemu proszącemu.

Tak tłumaczą autochtoni przyczynę, dla której w tym kraju winogrono rośnie obok „moroszki” — jagody stref koła biegunowego, tygrys żyje w jednej kniei z wilkiem, obok siebie pełza padalec i olbrzymi wąż Szrenka (krewniak Pytona), na tym samem jeziorku pływa krakwa i kaczka mandaryńska, korkowy dąb walczy o miejsce z karelską brzozą, a w wodach przyległego morza — rekin spotyka się z wielorybem.

Do stolicy tego pięknego, bogatego i ciekawego kraju, a zarazem bajecznego wprost terenu łowieckiego, na którym w owe lata żadne zgoła prawo myśliwskie, terminy i karty oraz inne restrykcje nie obowiązywały, przybyłem świeżo po wojnie rosyjsko-japońskiej. Byłem młodziutkim miczmanem Floty Cesarskiej i kilka miesięcy pływałem jako oficer flagowy na torpedowcu ‚Grozowoj”. Dywizjon nasz składał się z 8-u jednostek. Poza wody morza Japońskiego nie chodziliśmy. Manewry zespołu i biegi pojedyńczych jednostek nie sięgały dalej ujścia Amura i granicy Korei. Brzeg rosyjski tego morza obfituje w zatoki. Właziliśmy w każdą norę. Mój dywizjoner adorował bardziej Władywostok i pobyt u żony, niźli pomost i pokład. Często umykał z flagowego torpedowca na inny, by mieć pretekst jazdy do domu. Wówczas ja, jedyny oficer jego sztabu, zostawałem pod rozkazami dowódcy torpedowca. Ten ostatni również wolał stać w dobrze zasłoniętej zatoce, zakotwiczony, niż udawać wilka morskiego i bez koniecznej potrzeby walczyć z tajfunem na drobnym okręciku.

Koledzy moi spędzali wolne chwile (a tych nie brakło) przeważnie w pijatykach lub grali w winta, gdzie tylko się dało, nawet w cuchnących fanzach*) koreańskich, ale na brzegu, gdyż rosyjski regulamin zabraniał tej zabawy na okręcie. W całym dywizjonie ja jeden byłem myśliwym i miałem dubeltówkę. Uciekałem przy każdej sposobności od normalnych hulanek na ląd. Jako członek Towarzystwa Naukowego Badania Kraju Ussuri, z zapałem zbierałem kolekcje owadów, gadów, ryb, mięczaków, ptaków i ssaków. Pozatem byłem stałym dostawcą zwierzyny dla mesy. Ale kolegi łowów nie miałem. Brałem ze sobą na wyprawy na ląd bosmana, doskonałego strzelca z przepisowego rosyjskiego karabinu. Chętnie mi on towarzyszył. Jego asysta asekurowała mnie w razie spotkania z chunchuzem**) lub grubszym drapieżnikiem, gdyż w podobnych wypadkach dubeltówka mało była warta.

U myśliwych w tym kraju standartową bronią była dubeltówka Remingtona, kalibru 10. Drobniejszy śrut, jak kaczy, № 3, europejskiego wzoru, we Władywostoku nie egzystował. Dla polowania na bekasowate i drobne ptaki dla kolekcji, strzelania gadów, a niekiedy owadów (jadowity pająk i olbrzymie motyle) śrut № 8 sprowadzałem z Japonii.

Przy obfitości zwierzyny w tym kraju polowało się przeważnie, jak się to mówi, „sam pan — sam pies”. Nie zdarzyło mi się w one lata spotkać kogokolwiek z myśliwych, posiadającego wyżła; rzadko kto miał gończe. O powrocie do domu z pustymi rękami nie było mowy. Wręcz odwrotnie, najczęściej rzucało się po drodze precz mniej ciekawe trofea, a szczególnie zające, których mięsem gardzili wszyscy moi konawiganci, nie wyłączając załogi. Zwali je „czkan”, w gwarze syberyjskiej — szczur. Dosyć, jeżeli tu napomknę, że na rynku we Władywostoku para bażantów kosztowała wówczas 50 kopiejek, gdy kura — rubla! W przyzwoitych domach na wystawnym przyjęciu bażant nie miał prawa obywatelstwa, tak jak i łosoś, którego funt kosztował 5 kopiejek i wszystkim obrzydł.

Pewnego jesiennego wieczora zakotwiczyliśmy się w zatoce Siwucz, niedaleko granicy Korei.

Dzień był słotny, wyglądało na zbliżanie się tajfunu, częstego w październiku na tych wodach. Dobry grunt dla kotwicy jest tu tylko w pobliżu samego brzegu. Nasz od pary, „Władnyj”, stanął blisko nas. Reszta dywizjonu zakotwiczyła się w odległej o 20 mil Słowiance. Dywizjoner był we Władywostoku. Niebawem zjawiło się paru kolegów z sąsiada i zaczęła się normalna uczta. Nie brałem w niej udziału, zajęty przekładaniem do dużego naczynia kilku ostatnich egzemplarzy płazów, niedawno pojmanych i zalanych na poczekaniu w blaszane puszki.

Formalina wydaje przykry zapach. Poczuli go niebawem ucztujący w ciasnej mesie. Zaczęły się różne przywary pod moim adresem. Ktoś wyraził zdanie, że przecież węże można konserwować z równym powodzeniem w szlachetnym spirytusie i taki preparat nadałby się jako zakąska w braku węgorza czy minogi. Ten dowcip trafił mi do przekonania. Po prze-

*) fanza — chata. **) chunchuz — bandyta.

łożeniu ostatniego egzemplarza w odpowiednie hermetyczne naczynie szklane—zamknąłem formalinę i niebawem przyłączyłem się do biesiady.

Oczywiście — znalazłem się trzeźwy zupełnie śród mocno już podchmielonych i musiałem czas jakiś znosić uwagi o mym dziwnym upodobaniu do polowania, węży, ptaków, kolekcji — tego wszystkiego, co tak mało pasuje do stopnia i munduru miczmana Floty Jego Cesarskiej Mości, poczem temat się zmienił i musiałem volens-nolens brać udział w rozważaniu, które z kolorowych niewiast — Koreanki czy też Chinki powabniejsze są dla białych...

Była już głęboka noc i goście szykowali się do powrotu na „Włastnyj", gdy wachtowy zameldował, że do burty przybiła szalupa koreańska i „irbo" o coś natrętnie prosi, przy czym nie sposób go odegnać, wciąż się kręci koło torpedowca i chce uczepić się trapu. Dyżurny oficer kazał obudzić jednego z marynarzy pokładowych, znającego tę mowę i zapytać o co chodzi, przy czym zgóry zaznaczył, że doktora nie ma, jeżeli by o pomoc lekarską chodziło: nasz eskulap był w Słowiance.



Ryś—bars polski *rys. J. Kirylenko*

Przeszła długa chwila i goście już byli odjechali, a gospodarze kończyli sjestę malagą, gdy tłumacz z wachtowym zjawili się w mesie. Okazało się, że Koreańczyk prosi o zgoła inną pomoc, niż zwykłą lekarską. W pobliżu fanzy pojawił się bars*), który zarżnął poprzedniego dnia 2 świnie u sąsiada, a dzis u wzywającego pomocy — cielicę.

Ja i moi koledzy, którzy dłużej na tych wodach pływali, wiedzieliśmy doskonale, co to za rodzaj zwierzyny i co za drapieżnik. Wnet ozwały się głosy: „no — nareszcie, łowczy naszego dywizjonu ma okazję pokazać, czego wart"; „sam nie pójdzie, zresztą to głupie junactwo samemu na takiego zwierza chodzić" i temu podobne. Najbardziej jednak ubodło mnie pijane powiedzonko naszego chamowatego mechanika, zalanego najbardziej: „nu, niech nasz „Pan Mieczisław" pokaże, że pan Polak". To już mnie wyprowadziło z równowagi. — „Ty pijany koczegarze" wrzasnąłem „idź lepiej spać, bo ci sprawię taki prysznic, jakiego ci nikt nie dawał" i pchnąłem go na sofę, z której się już nie miał sił podnieść; ale mniej pijani„ a w tej liczbie i kapitan, zanotowali sobie dobrze mój gwałtowny odruch. Wezwał mnie niebawem do swej kabiny i przemówił dość ironicznie:

„A no — masz okazję pokazania siebie, jako myśliwego. Bars to nie bażant ani jakaś tam kaczka... Pamiętaj tylko, że ja ci do pomocy bosmana ani nikogo z mej załogi nie dam, bo ty idziesz z własnej woli, zresztą, jesteś ze sztabu, a nie okrętowy, za skórę których w razie czego — ja mam odpowiadać".

„Ja niańki nie potrzebuję", przerwałem mu, „dam i sam radę. Wolno mi o świcie wziąść dwójkę wiosłową na ląd?"

„Proszę bardzo"— brzmiala odpowiedź — „do południa będziemy tu, o ile tajfun nie nadciągnie. Gdyby zawiał — jadę do Słowianki".

Gdym od niego wychodził, słyszałem jego powiedzonko wślad: „Dywizjoner by cię napewno nie puścił, ale niech tam, pokazałeś „polski honor" to idź!"...

Po tej miłej rozmowie i ojcowskim zaiste błogosławieństwie — wyskoczyłem na pokład. Koreańska szalupa kręciła się obok burty uparcie, tłumacz wciąż rozmawiał z wioślarzami. Kazałem mu oznajmić natrętom, że przybędę o świcie własną dwójką.

Gdym się układał do snu — resztki chmielu ulotniły się z mej głowy.

O barsach słyszałem wiele opowiadań myśliwych i załogi. Widziałem nie raz w salonach piękne ich skóry i potężne, spłaszczone łby, potworne, wyszczerzone szczęki, najeżone olbrzymiemi kłami, okrutne pazury zagiętych dużych, niespółmiernych do wielkości stworzenia łap. Słyszałem, że ten wielki drapieżnik jest przez tubylców poczytywany za bóstwo, uosabiające waleczność, krwiożerczość i zwinność. Że poluje na wszystko żywe, największe i najmniejsze, przy czym ścierwa nie je, a tylko pije krew i smakuje w ludzkiej; wreszcie — że nie ustępuje placu w walce nawet tygrysowi ussuryjskiemu i jest zwierzyną, którą trzeba kłaść na miejscu, ranna — ze wszystkich na świecie najniebezpieczniejsza... Ale nie widziałem dotąd tego stworzenia żywego, anim go spotkał podczas mych polowań i wycieczek. Jak to będzie jutro?

Było jeszcze zupełnie szaro, gdy dwójka „Grozowoja" wiozła mnie w kierunku światełka najbliższej fanzy, na płaski brzeg, odległy o pół mili. Podczas nocy barometr się podniósł, widzialność była dobra, najbliższy łańcuch sopek, odległy o parę kilometrów, rysował swe kontury nad widnokręgiem. Wziąłem ze sobą tylko karabin, dubeltówki nie było po co brać. W kieszeni miałem 3 paczki naboi po 5 sztuk, szpice kul ponacinane, by działały jak znane już wówczas „dum-dum".

Mój towarzysz bosman czuł się bardzo dotknięty zakazem kapitana jechania ze mną, ale dał mi swoją broń, przystrzelaną na płaski tor na 200, a nie na 400 kroków, przepisowo górującą do bliższych celów.

Nie dobiłem jeszcze do brzegu, a już spostrzegłem, że przyjazd mój jest oczekiwany. W szarym mroku widać było białe stroje Koreańczyków, krzątających się przy fanzie. Dopiero przypomniałem sobie błąd — nie wziąłem ze sobą tłumacza... Ale ambicja przemogła, na torpedowiec nie wróciłem; skoro kapitan wzbraniał się dania mi do asysty wytrawnego strzelca, jak mogłem go prosić o inną pomoc?

Gdy dobiłem na piasek przed fanzą — mieszkańcy jej wyszli w komplecie na przywitanie. Dwaj dorośli

---

*) Felis uncia — pantera.

mężczyźni, dwie niewiasty, wyrostek kilkunastoletni i kupa dzieci. To wszystko przyglądało mi się z powagą, a jednocześnie mężczyźni złożyli mi szereg pokłonów z dotykaniem dłońmi ziemi. Z przemówienia starszego z nich zrozumiałem tylko 2 słowa: „bars" i „spasibo". Nic poza tym. Po skończonym kłanianiu się, starszy z gospodarzy zbliżył się do mnie i wskazał ręką fanzę. Zaduch i nieznośny swąd oleju bobowego wewnątrz ciasnej glinianej kabany, odstraszył mnie od wejścia pod dach. Spocząłem na olbrzymim okazie bani, jakich dużo było w ogródku przy chacie, oplecionym, niczym kosz, łykiem kosodrzewiny. Gospodarz, widząc, że mnie nie zachęci do wejścia, znikł wraz z rodziną w fanzie, zostawiając przy mnie wyrostka, który zajął się oszczekującym mnie natarczywie kundlem i wyprowadził go z ogródka. Po chwili gospodarz przyniósł i postawił przede mną niski stolik, a jedna z gospodyń tacę z poczęstunkiem. Była tam miska ryżu, karafka „chanszynu" *), kubek herbaty i drobne placki na oleju bobowym. Ryż zjadłem, gdyż był omaszczony szmalcem, natomiast nie tknąłem reszty poczęstunku. Jak mogłem — tłumaczyłem na migi, że jest jeszcze za ciemno, by na łowy ruszać. Zrozumiano mnie i zostawiono w spokoju.

Jak się poluje na to stworzenie i gdzie go się szuka? Jak wygląda ten koci drapieżnik w ruchu, gdy się zbliża? — Tego mi już nikt nie wytłumaczy, trzeba się zdać na intuicję lub na wskazówki na migi gospodarza. Marny los, może naprawdę zawezwać z torpedowca tłumacza?

Po chwili namysłu zdecydowałem jednak tego nie czynić. Niech się dzieje co chce, ośmieszać się nie będę. Wstałem, podszedłem do dwójki i kazałem jej wracać na torpedowiec.

Dalsze medytowanie doprowadziło mnie do wniosku, że o ile teren łowów jest odległy chociaż by o 4km., to mam na nie mało czasu. Od świtu do południa w październiku to zaledwie 5 godzin. Obejrzałem się — o 100 kroków strzał już możliwy, nie ma na co czekać. Zbliżyłem się do drzwi fanzy, na migi dałem znać gospodarzowi, że gotów jestem do drogi. Jak mogłem najlepiej tłumaczyłem, że musi mi ktoś pokazać barsa i miejsce, gdzie on jest. Zrozumiano mnie w lot. Wyrostek pobiegł po psa, przywiódł go na łańcuchu i oddał w ręce dorosłego Koreańczyka. Ruszyliśmy w drogę.

Dążyliśmy w kierunku najbliższego łańcucha sopek**) doliną kilka kilometrów szeroką, pokrytą drobnymi niskorosłymi zaroślami i pnączami z plamami łąk i szutrowisk rzecznych bez porostu. Uszliśmy bodaj ½ km. pieszo ścieżką, gdy przy jednej z licznych w tej dolinie karłowatych olsz zboczyliśmy nagle w niskie zarośla. Koreańczyk, wiodący psa, zatrzymał się i wskazał mi ręką ofiarę napadu barsa. Bełkotał coś. Z podziwem i z pewnym strachem przyglądałem się jej uważnie zbliska. Bydle miało przegryzioną tętnicę, nic ponadto, żadnych innych ran. Hm! Albo napastnika spłoszono, albo on naprawdę tylko pije krew, nie tyka reszty ścierwa. Kto mi na to da odpowiedź? Ścisnąłem mocno karabin w dłoniach, odrepetowałem, uważając czy nabój się wśliznął i nie zabezpieczając ruszyłem za przewodnikiem w dalszą drogę. Wracając na ścieżkę spostrzegłem na innym pnączu kłak szerści bydlęcej. Przyglądając się uważniej ścieżce dostrzegłem na niej kilka śladów bydlęcych. Chciałem dostrzec ślad napastnika. Niebawem na podmokłym gruncie zauważyłem jakieś odciski, gęsto jeden przy drugim. Były one wielkości małej ludzkiej dłoni. Wskazałem je memu przewodnikowi i wymówiłem jedyne wspólnie nam znane słowo „bars"? — Milczące skinienie głową było mi jedyną odpowiedzią. Przyjrzałem się tedy śladom dokładniej. Nigdzie znaku pazurów.

Niebawem ścieżka nasza się rozdwoiła. Jedna jej odnoga wiodła w kierunku widocznych o kilometr fanz, druga zbaczała ku ruczajowi i bardzo dalekiemu osiedlu pod samym łańcuchem sopek. Nad ruczajem szliśmy może kilometr, raz w raz natrafiając na mocno wydeptane racicami bydlęcymi pastwiska i gołe szutrowiska, obramowane zaroślami gęstych pnączy. Był już dzień. Z podziwem skonstatowałem, że nigdzie jeszcze nie widać bydląt ani świń. Czy by to miało dowodzić, że cała okolica steroryzowana jest przez pojawienie się barsa? Po półgodzinnym marszu przewodnik mój zwolnił kroku, gdyśmy napotkali większe szutrowisko, kilkumorgowe przynajmniej, z wielu pojedyńczemi głazami. Zatrzymał się wreszcie przy jednym kamieniu prawie okrągłym, osiadłym mocno w drobny żwir.

Rozglądał się chwilę dookoła, potem wydobył spod sukmany długi skórzany postronek, spoił go z końcem psiego łańcucha bardzo starannie, opasał nim podstawę wybranego głazu i zawiązał wreszcie ów trok. Potem coś zabełkotał i... pomknął wcwał w kierunku skądeśmy przyszli, zostawiając na pożarcie barsowi psa i myśliwego...

Rudy, mały kundel koreański, wyglądem i owłosieniem przypominający znane u nas chińskie „Cziny" o wyłupiastych oczach, tylko nieco większy, zaczął wnet się rzucać, poczem zaskomlił jednym ciągiem. Ale uciec do gospodarza nie mógł. Co to ma znaczyć? Przynęta, czy stróż przy mnie? Jeżeli to stróż—trzeba to przerażone zwierzę ułagodzić i uspokoić; w każdym razie nie można się odeń bardzo oddalać. Jeżeli to przynęta — to wypadało by tak stanąć, by napastnik wprzód ją, a nie mnie spostrzegł; i w tym wypadku nie mogę się zbytnio oddalać.

Obejrzałem się raz i drugi uważnie dookoła.

Mój przewodnik był już daleko. Biegł jak nieprzytomny, jego biała „siermięga" widoczna była jeszcze na tle odległych niskich pnączy.

Uwagę moją przyciągnął niebawem duży głaz, wystający z ruczaju w naszym kierunku. Było doń od przywiązanego psa nie więcej jak 30 — 40 metrów. Gdybym się pod nim ulokował, widziałbym i psa i całe szutrowisko, i okalający je niski gąszcz pnączy. No i... miałbym ruczaj za sobą, a tarczę, uniemożliwiającą zdradziecki skok na mnie z tyłu. Bez dalszych namysłów zająłem takie stanowisko, jakie mi się zdało najlepszym.

Gdy przytuliłem plecy do zimnego głazu i strach o ten kierunek napaści minął, przyjrzawszy się dokładnie polu widzenia i obstrzału zrozumiałem, że zorjentowałem się dobrze. Do najbliższych krzaków obramowania szutrowiska miałem 30 — 40 m, do psa— tyleż; najdalsze przeciwległe zarośla okalające szutrowisko może 200 — 250. To prosty strzał, cel przecie nie mały! Dobra jest.

*) Wódka z gaolanu — prosa.

**) Wzgórz.

Pies długo wył i skowyczał. Powoli jednak zaczął się męczyć.

Ja natomiast bardzo prędko ochłonąłem z przykrego wrażenia ucieczki mego przewodnika i dobry humor wrócił mi zupełnie.

Trzymając broń w pogotowiu, uważnie przyglądałem się krawędzi otaczających szutrowisko krzaków, słusznie rozumując, że przecież gdyby napastnik był już gdzieś pod którymś z głazów czatował, gdyśmy przyszli, to miałby już dosyć czasu do ataku lub podpełznięcia do psa lub do mnie. Nie, on inaczej jak z krzaków zjawić się nie może.

W tym emocjonującym oczekiwaniu przyszło mi na chwilę do głowy, że może stanie jest z mojej strony błędem, i to dwojakim: bars może zauważyć wprzód mnie, niż psa; jeżeli nie jest taki waleczny, jak o nim opowiadają, może nie wyjść z zarośli wcale i cała wyprawa na nic. Przykucnąłem, narwałem suchych badyli trawy i na nich ukląkłem prawym kolanem. Strzał z lewego kolana też dobry!

Nie umiem powiedzieć jak długo klęczałem. Pies mnie widział ciągle. Skomlenie jego stało się coraz rzadsze. Wyciągnął się ze sznurem w moim kierunku. Nim kolano nie zabolało — ileż to myśli i rozważań łowieckich przemknęło w głowie! Wstałem wreszcie, gdy kolano zbyt zaczęło się przypominać.

Wyprostowany rozglądałem się uważnie, nie spuszczając pola i krawędzi zarośli z oka.

Ból kolana już był zupełnie minął, gdy zdawało mi się, że w lewo od psa coś przesunęło się z pnączy za najbliższy od krzaków głaz.

Przykucnąłem, wytężyłem wzrok. Jest! To napastnik, to cel.

O jakie 100, może więcej kroków po żwirze, omijając większe kamienie, sunie płasko przy ziemi, gęsto przebierając łapami, olbrzymi-kot, rudy, plamisty. Łeb ogromny tuż przy ziemi, łopatki sterczą nad tułowiem, widać ich ruch. Jeszcze okamgnienie, a widzę go o jakie 10 — 15 kroków od psa — ofiary. Kundel już nie skowyczy. Wyciągnął postronek ile mógł, zamarł w zgrozie agonii. Wydłużone cielsko kocie zatrzymało się. Ha! Widzę już dokładnie majdanie olbrzymim ogonem, niczym domowego kota, lubującego się myszą, nie mającą gdzie uciec, gotowego do skoku. Widzę to oczywiście tylko prawym okiem, przez wizjer i muszkę karabinu, markującą nasadę głowy. A no, celuj dokładnie, miczmanie! Cel duży, łatwy, bliski, więcej 50 kroków nie ma.

Strzał. Momentalne repetowanie, broń znów do oka. Nie strzeliłem powtórnie, bo skutek pierwszego zbyt był widoczny.

Zwierz dał po pierwszej trafionej kuli potwornego susa pionowo w górę, opadł — znów to samo. Te skoki trwały kilka sekund, poczem legł na bok. Zaczął się przerzucać z boku na bok, coraz słabiej. Wreszcie raz jeszcze zdobył się na skok i tym razem zwalił się na postronek psa, tuż przy kamieniu. Dopiero zaczęła się prawdziwa agonia, drapanie gwałtowne ziemi tylnymi łapami. Dobić? A cóż, naboju nie szkoda. Pod przednią lewą łopatkę, gdy łapa kurczowo wyciąga się w górę. Teraz napewno trup.

Dopiero wówczas podchodzę spokojnie obejrzeć łup. Był to piękny męski okaz. Duże to, szalenie mięsiste. Muskulatura tak wyrazista, jak bodaj u żadnego innego stworzenia. Nogi niepomiernie krótkie w porównaniu do tułowia, 2 kroki długiego. Piękne umaszczenie. Na rudym, jaskrawym tle — czarne plamy, większość ich z białymi obwódkami. Ale najwspanialszy w tej groźnej sylwetce, to łeb. Ogromny, spłaszczony, z wklęśnięciem nad pyskiem, wydrowaty. Druga kula, niepotrzebna, oszpeciła skórę; otwór wyjściowy na dłoń szeroki. Pełno krwi na szutrowisku. Pazury powyłaziły, potworne, sierpowate, ostre.

Mowy nie było, bym mógł sam dać radę z podobnie ciężką tuszą. Dopierom się opamiętał i spojrzałem na zegarek. Było już po dziewiątej.

Pies sfolgował nieco napięcie postronka. Siedząc na tylnych łapach wybałuszał na mnie swe wyłupiaste oczy, nie skomlił więcej i nie szczekał na mnie, gdym się doń zbliżył. Dał się nawet pogłaskać, ale żadnych innych psich sentymentów nie zdradzał. Jeszcze długo sapał, jak po męczącym biegu w upał...

Z wielkim zadowoleniem spostrzegłem niebawem, że mój przewodnik i wyrostek już biegną zdala ku mnie, a za nimi cała wataha kobiet i dzieci. To zbiegowisko otoczyło martwego barsa i przyglądało mu się z ciekawością. Mężczyźni zajęli się odwiązywaniem psa, na mnie nie zwracali uwagi. Po jakimś kwadransie przyjechał konno na krowie gospodarz fanzy z dużą matą łykową i długim sznurem. Moją zwierzynę owinięto matą, sznur przytroczono do szorki i po godzinie wraz z eskortą dzieci i kobiet byłem spowrotem w znajomej fanzie.

Skupisko na brzegu nie uszło uwagi wachty na torpedowcu. Musiała ona widocznie dopatrzyć i mój łup, gdyż niebawem przysłano po mnie nie dwójkę, lecz 4-wiosłową balenierę.

Gospodarz i mój przewodnik długo mi się kłaniali, żegnając. Śród wioślarzy był tym razem i marynarz, znający język koreański. Powiedział mi on, że zabieram z tej fanzy nie tylko barsa, ale i błogosławieństwo gospodarzy na dalsze łowy. Poza wyrazami wdzięczności otrzymałem podarek w postaci kilku kur i paru bań.

Powrót na „Grozowoj" był moim triumfem.

Kapitan — kłamiąc czy szczerze — mocno mi uścisnął dłoń i głośno przy wszystkich na pokładzie mi oznajmił: „Tak, zdałeś egzamin na 12. Pochwał za konduitę na polowaniu nie ma we zwyczaju udzielać w rozkazie. Ale ja ci i bez rozkazu gwarantuję tygodniowy urlop, to sobie pojedziesz na jezioro Chanka, na przeloty. Poza tym mechanik ma cię przeprosić przy mnie za głupie żarty".

Z urlopu skorzystałem, na słynnym przelocie nastrzelałem ptactwa różnego do syta.

Skóra barsa wraz z czaszką powędrowała do słynnego Michajłowa w Moskwie, skąd wróciła po pół roku na okręt, ale już inny. W wypadkach gali dawałem ją dla ozdoby rufy na kapitańską yolę. Przed powrotem do Europy po kilku latach podarowałem ją uroczej panience, by nie za bardzo płakała, żegnając młodego lejtenanta.

Kap. Nord.

TADEUSZ ŚLIWIŃSKI.

ODŻYWIANIE ZWIERZYNY PŁOWEJ

(Ciąg dalszy)

Jeśli idzie o paszę naturalną, to ze względu na dostarczenie jeleniom fosforu, witamin i życiodajnych hormonów, należy przede wszystkim wziąć pod uwagę te rośliny krzaczaste, które dość pospolicie rosną u nas na mokrych łąkach, a więc wierzbę, łozę, rokitnę, ćmielinę itp. Rośliny te sięgają swymi korzeniami w głąb pod poziom niezamarzającej powierzchni łąk i daleko wcześniej na przedwiośniu zaczyna się w nich przejawiać krążenie soków, aniżeli w krzakach, które rosną na suchych gruntach. Bardzo wcześnie wiosną, bo w lutym, marcu, zaczynają pokazywać się pąki, t. j. bazie, kotki. Ich wartość odżywcza, wraz z gałązkami, pod względem surowej proteiny i witamin we wczesnym okresie wiosennym jest bardzo znaczna, a ma to miejsce wtedy, kiedy las jeszcze cały, mający przeważnie nierozmarzniętą ziemię, śpi, nierozbudzony ciepłem pierwszych dni wiosny. Utrzymanie i rozprowadzenie zatem tego rodzaju krzaków na łąkach, leżących pośród ostoi jeleni, w znacznym stopniu może przyczynić się do dostarczenia potrzebnej paszy, o jak najodpowiedniejszych składnikach. Przytaczamy tablicę Vogta, w której wykazujemy zawartość tych składników. Według tej tablicy krzewy tego rodzaju pod względem zawartości kwasu fosforowego i wapna należą, wraz z makuchem sezamowym, do kategorii, która zawiera największe ilości fosforu.

Zaleca się zbieranie wiosną liściarki, a wysuszony chrust drzewny z tego rodzaju roślin mleć, względnie rżnąć na sieczkę i mieszać z rozgniecionym ziarnem i taką kombinację dawać jako karmę. Oprócz zatem poletek, na których będziemy uprawiać wskazane uprzednio rośliny pastewne, pamiętajmy o łąkach i moczarach leśnych i starajmy się utrzymać na nich te ważne rośliny, a wówczas możemy być pewni, że jelenie sowicie opłacą za to najpiękniejszymi wieńcami.

TABLICA VOGTA.

	Na 100 części wagowych suchej substancji zawierają:		Na 100 części wagowych w naturalnym stanie zawierają:	
	Tlenku wapnia	Bezwodnika kwasu fosfor.	Wapnia	Wartość skrobiowa
Liście buku	1,41	0,39	3,5	18,0
Liście brzozy	1,35	0,45	4,	20.
Liście wierzby	2,61	0,87	4.	14,5
Gałązki wierzby	2,05	0,66	1,1	10,2
Igły świerku	1,16	0,19		
Igły sosny	0,77	0,25		
Kapusta pastewna	0,44	0,14	1,8	9.
Kora dębu	2,19	0,18		
Kora sosny	1,21	0,22		
Dobre siano	1.	0,48	4.	34.
Czerwona koniczyna	1,86	0,51	6,5	32.
Kasztany	0,27	0,52	2.	36.
Żołędzie	0,15	0,32	2.	42.
Kartofle	0,09	0,65	1.	20.
Buraki pastewne	0,26	0,54	0,1	6.
Buraki cukrowe	0,20	0,42	0,5	15,5
Kukurydza	0,03	0,68	7.	81.
Owies	0,11	0,72	7.	55.
Żyto	0,06	1,05	8,5	71.
Makuchy sezamowe	2,76	2,30	36.	79.
„ lniane	0,43	1,10	26.	72.
„ sojowe	0,26	0,93	38.5	75.
„ orzecha ziemnego	0,25	1,08	43,5	76.
„ kokosowe	0,11	1,26	16,5	76,5

Zimowe dokarmianie zwierzyny trzeba rozpoczynać wcześniej, zanim zniknie pod śniegiem naturalna pasza, nie należy dopuścić do nadmiernego schudnięcia zwierzyny, paszę najlepiej dawać w godzinach popołudniowych.

Bardzo ważnymi ze względu na odżywianie jeleni są poręby. Zwierz płowy nie boi się dźwięku siekiery, a przeciwnie, czai się w pobliżu zrębów, aby wyjść nocą na żer i nażreć się swych ulubionych gałązek, specjalnie gałązki drzew liściastych stanowią pożądany żer. Wskazane jest w ostojach jeleni prowadzić tak wyrąb lasu zimą, żeby drzew, których gałązki dają paszę, nie wycinać odrazu, ale w ciągu dwóch-trzech zimowych miesięcy. Odnosi się to specjalnie do mięk-

kich drzew. Niektórzy autorzy, pisząc o jeleniach w Karpatach, zaznaczają, że jelenie w naszych górach rozmnożyły się wówczas, t. j. przed laty 80—90, kiedy zaczęła się prawidłowa eksploatacja lasów i poręby, przedtem jelenie miały być bardzo rzadkie.

Zimą karmę daje się w paśnikach, mających kształt parasola, wzgl. jarzma. W takich paśnikach winny być drabinki dla siana oraz korytka dla paszy treściwej. Paśniki przykrywa się daszkiem. Dobre są tak zwane krypy Scheppera, zabezpieczające paszę od zamoknięcia.

O ile chodzi o dodawanie bezpośrednio fosforanu wapnia w postaci mineralnej, to można go dawać jako domieszkę doześrutowanego ziarna, lub też dodawać go do lizawek z solą. Dawanie fosforanu wapnia z całkowitym ziarnem nie jest wskazane, bowiem jeleń może wydmuchiwać sproszkowaną sól fosforową, natomiast trudniej mu to zrobić z ziarnem gniecionym, zwłaszcza zeześrutowanym, przy jednoczesnym dawaniu pewnej ilości sieczki, wzgl. plew. Fosforan wapnia nie może być ani mielonym fosforytem, ani mąką kostną, gdyż tego rodzaju trójfosforany byłyby trudne do strawienia, lecz winien być jedno- lub dwuzasadowym fosforanem, zawierającym około 35/40 procent fosforanu wapniowego, rozpuszczalnego w wodzie, wzgl. w słabych kwasach. Inny sposób dokarmiania zwierzyny fosforanem wapnia polega na kombinacji soli kamiennej i zasadowego fosforanu wapnia oraz czystej, nie zawierającej żelaza i piasku gliny. Na 100 części czystej gliny dajesię 30 kg soli bydlęcej i 10 kg fosforanu wapniowego. Dodaje się do tej mieszanki tyle wody, aby stworzyć masę ciastowatą, którą najlepiej wypełnić wydrążone pieńki, wzgl. kamienne koryta. Masę tego rodzaju można dla przynęty polać po wierzchu olejkiem anyżowym, a na wierzch powtykać kasztany, żołędzie, buczynę lub nasypać kiełki słodowe, aby zwierzyna sama odkryła sól. Lizawki powinnybyć rozmieszczone w różnych częściach ostoi jeleni, jedna na pięćdziesiąt do stu ha. Zwierzyna często przez dłuższy czas nie przychodzi do lizawek, ale tym nie należy się zrażać. C. Wagner w „Łowcu Polskim" rok 1912, nr. 14 poleca sposób p. Wróblewskiego, polegający na mieszaniu soli nie z gliną lecz z węglem brzozowym w stosunku na 100 części soli 3 części węgla z dodatkiem fosforanu wapnia (węgiel ma działać jako środek dezynfekcyjny). Mieszankę o składzie 35% soli fosforowej, 65% soli, 3% węgla i 2% anyżu kłaść, ubijając szczelnie w korytka, lokując te ostatnie w taki sposób, aby je zabezpieczyć od deszczu. W Wielkopolsce popularne są lizawki T. Metziga, stanowiące kombinację soli i innych składników, pod nazwą „tamet". Sól kuchenna według S. Kamockiego przyczynia się w dużej mierze u zwierząt przeżuwających do zwiększenia apetytu, pobudza pragnienie, ułatwia trawienie i działa wzmacniająco na organizm zwierzęcia.

Dobrze urządzone miejsca dla karmienia winny według Raesfelda przedstawiać się jak następuje: 1) pokarm musi być ochraniany od złych warunków atmosferycznych, 2) karmy dawać tylko tyle, ile potrzeba do jednorazowego nakarmienia, 3) oddzielić miejsce przeznaczone dla młodzieży od dostępu do niego starych byków, 4) obsługa powinna być możliwie ułatwiona, 5) teren, gdzie zwierzyna żre karmę, powinien być codziennie oczyszczony, 6) w pobliżu paśników powinny być lizawki i zdrowa, najlepiej bieżąca woda, 7) miejsce, gdzie są paśniki, nie powinno być zbyt małe, na tym bowiem tracą słabsze jelenie.

P o j e n i e: jelenie dla picia powinny mieć możliwie czystą wodę. Tam, gdzie nie ma bieżącej wody, trzeba urządzić dla zwierzyny sztuczne poidła. W tym celu szuka się wody przez kopanie głębokich rowów, niezbyt jednak szerokich, aby zwierz nie mógł się w nich położyć i tarzać. Dla kąpieli muszą być oddzielne bagienka, najlepiej naturalne, a niezbyt głębokie, aby jelenie mogły się wytarzać.

W art. pod tytułem „Uprawa i wartość odżywcza oraz skarmianie najpoważniejszych roślin pastewnych" inż. Starzeński i dr. T. Konopiński podają obszerną tablicę, którą załączamy:

N a z w a	Plon z ha	strawne białko		wartość skrobiowa	
		q z ha	w %%	q z ha	w %%
Lucerna zielona 4 pokosy	420 q	7,1	1,7	35,7	8,5
Lucerna siano	105 „	6,5	6,2	23,5	22,4
Kapusta pastewna	450 „	5,4	1,2	42,3	9,4
Lubin żółty, słodki zielony	200 „	2,4	1,2	9,2	4,6
Lubin żółty, słodki Baura, ziarno	14 „	4,1	29,4	81.	58,2
Groch ziarno	20 „	3,4	6'91	13,7	68,6
Saradela siano	40 „	3,6	9,2	12,6	31,4
Owies, jęczmień, groch na zielono	160 „	2,6	1,6	13,1	8,2
Bulwa, kłęby	160 „	0,6	0,4	26,2	16,4
Bulwa zielona masa	200 „	3,4	0,7	32,4	16,2
Koniczyna czerwona 2 pokosy	240 „	3,4	1,7	23,3	9,7

Nie wypowiadam się tutaj specjalnie za sianiem, czy sadzeniem tej lub innej rośliny, bo to zależy też od rodzaju gleby, lecz o ile hodowca zadaje sobie trud obsiania pewnej ilości nieużytków lub obszarów leśnych dla jeleni, to może jednak warto wybrać dla zimowego dokarmiania taki rodzaj paszy, który daje najwięcej ciepła, a więc wykazuje najwyższą wartość skrobiową, a dla wiosennej paszy znów taki, który zawiera najwięcej strawnego białka, a więc może dać dostateczną ilość fosforu dla odrastającego wieńca. Jeśli na jednym hektarze lucernika można wyżywić 40—50 sztuk trzody lub owiec, to czyżby nie należało

przyjąć przez analogię za minimalną normę, iż w lasach, zwłaszcza iglastych, gdzie bytują jelenie, chcąc uniknąć spustoszeń, które powodują w młodych drzewostanach, trzeba przy 10—20 jeleniach na tysiąc hektarów dać takie ilości paszy na dobę, aby kapitalny jeleń w okresie odbudowy wieńca miał w paszy łącznie 100 gr. fosforanu wapnia. Są to ilości substancji mineralnych, których, jak twierdzi F. Vogt, zwierzyna nawet przy najwiekszej dbałości o las, nie ma w najbogatszych okresach wegetacyjnego rozwoju roślinności; dlatego też w miesiącach luty—czerwiec, zwierzynę trzeba dopasać karmą o znacznej zawartości substancji białkowych, względnie mineralnych, a w szczególności fosforu. Vogt rekomenduje dawać 2 kg. makuchu sezamowego na 1 sztukę i dobę.



Wieniec z puszczy Bialouieskiej

Częściowo tak byk jak i łania mogą zamagazynować we krwi pewne ilości fosforanu wapniowego, ilość ta jednak nie może być znaczna. Budowa kości potrzebuje również fosforanu wapniowego; ilości jednak potrzebne dla codziennej asymilacji, zważywszy, że kości młodego jelenia rozrastają się w ciągu 42 miesięcy — są nie tak znaczne, bo pięciokrotnie mniejsze, aniżeli przy odbudowie wieńca. Te więc ilości fosforanów znajdzie w czasie wzrostu młody jeleń w każdej paszy leśnej, gdzie znajduje się odpowiedni podszyt.

Czy jednak twierdzenie Vogta, że zwierzyna płowa nie może znaleźć w lesie należytej paszy, zawierającej odpowiednie ilości fosforanu wapnia — jest ścisła? Czy zbadana była pod względem zasadniczych składników zawartość żołądków jeleni, ubitych w czasie odbudowy wieńca? Czy znany jest skład chemiczny różnych, ulubionych przez jelenia roślin, jak np. leśnego groszku, jemioły? Wiemy, że jeleń naogół jest wybredny i żerując w lesie wybiera to te, to inne pędy, a nie żywi się tym wszystkim, co znajduje pod nogami. Gałązki rokicin czy wierzb, zawierające 2,05% wapna i 0.66% bezwodnika kwasu fosforowego, przy skonsumowaniu np. tylko 30 kg. w stanie świeżym — zawierać będą według tablicy Vogta 600 gr. wapna i 198 gr. bezwodnika kwasu fosforowego; również wysuszone siano złąk zmelioryzowanych zawiera według Stacji w Sarnach 0,60 kw. fosforowego. Młode pędy dębowe według przytoczonej tablicy prof. Neumeistra, również zawierają w czerwcu 0,565% kwasu fosforowego i 0.889% wapna, a więc przy 30 kg. paszy 169,5 gr. kwasu fosforowego i 266,7 gr. wapna. Jeśli by zatem zwierzyna płowa wyłącznie nimi karmiła się i spożywała je, to przy 30 kg. takiego pokarmu na dobę ma ona żywiąc się gałązkami rokiciny do dyspozycji 169 gr. bezwodnika kwasu fosforowego i 266 kr.wapna, a więc łącznie 435 gr. t. j. przeszło cztery razy więcej, aniżeli zalecane przez Vogta 100 gr. Podobne liczby otrzymamy i przy żywieniu sianem z dobrych łąk. Wystarczy zatem aby połowę paszy stanowiły młode pędy podszytu, względnie liściarka czy dobre siano, aby jeleń normalnie rozwijał swoje wieńce. A przecież w roślinach strączkowych, jak: w łubinie, lucernie, seradeli — mamy bardzo poważne źródła fosforu, a o wapno tak bardzo troszczyć się nie należy — gdyż w każdej prawie paszy jest go poddostatkiem. Dlatego też w większości wypadków w łowiskach otwartych dokarmianie prowadzić należy nie tylko przez sztuczną karmę, ale przede wszystkim dbać aby zwierz płowy miał dużo podszytu i runa w swoich łowiskach, bowiem w okresie odbudowy wieńca znajdzie on w odrostach drzew, oraz w krzewach i świeżym runie, i to w porze dla niego najodpowiedniejszej, swą najwłaściwszą paszę—tak co do objętości jak i składników chemicznych. W czasie jesieni jeleń potrzebuje paszy bardzo treściwej, a taką mogą mu dać owoce leśne, jak: żołędzie, buczyna i inne; wreszcie powinien mieć zimą dostateczną ilość kapusty pastewnej lub liściarki, zbieranej w maju i w czerwcu t. j. w okresie, gdy takowa zawiera najwięcej proteiny. Jeśli pradawne jelenie dochodziły do wspaniałych wieńców, to przede wszystkim przyczyniał się do tego nadmiar podszycia, które dawało im najbardziej odpowiednią paszę. Dla hodowców jest to jedna z najważniejszych spraw, jeśli chodzi o dochowanie się byków o pięknych i normalnie ukoronowanych wieńcach.

Wiadomo jest z ostatnich naukowych prac fizjologicznych, że wzrost roślin uwarunkowany jest nowo odkrytym hormonem auxinem, który zazwyczaj koncentruje się w wierzchołkach gałązek, a powstaje zarówno w samych łodygach jak i w korzeniach. U jeleni młodych, którym dla wzrostu, jak i starszym dla odrostu nowych wieńców tego rodzaju czynnik ten jest potrzebny, obgryzanie wierzchołków drzew i krzaków jest czynnością, wynikającą z konieczności fizjo-



Wieniec jelenia karpackiego

logicznych i temu ich popędowi naturalnemu hodowcy muszą zadośćuczynić, sadząc krzewy, jak żarnowiec, łoza o łatwo odrastających młodych pędach. Ze względu na podstawowe składniki odżywcze, młode pędy drzewa można oczywiście zastąpić pokarmem trawia-

stym t. j. sianem i trawą tak zw. słodką — z łąk zmeliorowanych, a ewentualny niedostatek białka uzupełnić skoncentrowanym pokarmem ziarnistym: grochem, owsem itp. paszą treściwą, jednak tego rodzaju pasza nie da jeleniowi jeszcze tego wszystkiego, co mu potrzebne, aby wieńce osiągnęły najwyższą klasę.

Natura czyniąc wszystko celowo dała i jeleniowi pewną rolę w przyrodzie. Jest nią trzebież w puszczach gałęzi i krzewów, które rozwijając się nadmiernie powodują w borach brak koniecznego słońca dla rozwoju traw, jagód i inn., roślin niskorosłych, które w całokształcie gospodarstwa leśnego odgrywają również pewną rolę. Jeleń powinien być sprzymierzeńcem leśnika, jako czynnik oczyszczający las z odrostów i chwastów. Był on nim w lasach dawniejszych, kiedy nie prowadzono jednostajnej hodowli drzew, obgryzał on gałązki nisko wyrastające z pni drzewnych, oczyszczał z nadmiernej ilości młodych roślin i t. zw. chwastów leśnych — oraz rozrastającego się podszycia dolnego piętra lasów.

Nie możemy dostosować natury dzikiego zwierzęcia do wadliwej i zgubnej, jak się okazało, teorii o jednostajności lasu; jeśli nie znajduje on tego, co mu jest do życia nieodzowne, to ginie, a jako objaw przejściowy występuje degeneracja, zniekształcenie, zdrobnienie samego zwierza i jego wieńców. Ten stan mamy u nas, mamy też w wielu krajach na Zachodzie, zwłaszcza w Anglii.

Kto chce polować na jelenie w ich formie pierwotnej, o wieńcach wysokiej klasy, ten musi przede wszystkim dbać o właściwe pożywienie dla płowego zwierza. Jeśli uważać będziemy jelenia za pewną wartość łowiecką i gospodarczą, to — zamiast wybijać go po dziesięcioletniej ochronie, jak u nas w Wielkopolsce w latach 1930—39 — należało by przesiedlić częściowo płową zwierzynę z zachodniej Polski do tego rodzaju lasów we wschodniej Polsce, gdzie jest dostateczna ilość rewirów o należytym podszyciu i możliwości wyżywienia tego pięknego, a tak sympatycznego zwierza. Podobnie jak w Białowieży, znajdzie on tam warunki bytowania, znajdzie na wiosnę młode pędy osiny, buku, olchy, znajdzie na łąkach wiosną różne krzaki, dające wczesne, świeże pędy, wrzosy w lasach położonych na wzgórzach, pełno nie mających żadnego gospodarczego znaczenia rokiciny, wierzby, łozy i innych krzewów, na łąkach. Nie brak też w lasach kresowych ulubionych przez jelenie: dzikiego bzu, jarzębiny, czeremchy, wiązu i dzikich malin, oraz żołędzi i buczyny.

Jeśli za dzierżawę, lub utrzymanie rewirów, które są ostoją jeleni, płaci się pewną sumę rocznie, to czy nie lepiej wydać jeszcze połowę tego, lub nawet drugie tyle, na urządzenie specjalnych poletek na podkarmianie jeleni? Dzięki temu dodatkowi zyskamy: 1) że wieńce jeleni będziemy mieli lepsze, 2) że hodowane w sposób powyższy jelenie będą więcej przywiązane do rewiru, 3) jeleni będziemy mogli utrzymać więcej, 4) wybór właściwych do odstrzału będzie pokaźniejszy, 5) stworzymy lepsze warunki dla przyszłej generacji w łowisku, 6) unikniemy płacenia znacznej części odszkodowań u sąsiadów i zmniejszymy do minimum szkody w lesie.

(c. d. n.).

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

FANTASTYCZNE ZACHOWANIE SIĘ GŁUSZCA

Gdybym fakt niżej opisany posłyszał z nieznanych mi ust, wśród biesiady myśliwskiej, nie wiem czy uwierzyłbym w jego absolutną prawdziwość.

Ponieważ sam go przeżyłem jako współaktor, wśród tajemniczej wieczornej dekoracji leśnej puszczy, będąc przy zdrowych zmysłach, stał się on dla mnie faktem niezaprzeczalnym i zasługuje na podanie do wiadomości wszystkich myśliwych, którzy, polując na głuszce na tokach, zajmują się chętnie obserwacją i porównywaniem indywidualności tych ptaków.

Bolesław Świętorzecki, największy naszego wieku znawca życia głuszców, autor monografii głuszca, gdyby żył — może wiele zadałby pytań dodatkowych, zanim by uwierzył w moje opowiadanie. A oto ono.

Zeszłorocznej wiosny przypadło mi w udziale udanie się do jednego z Nadleśnictw Pomorza Zachodniego celem rozejrzenia się w terenie, zbadania przebiegu toków i towarzyszenia następnie myśliwym warszawskim, jacy zapowiadali swój przyjazd. Miało to być moje pierwsze po 9-ciu latach zetknięcie się z tak wielce mnie zawsze pociągającym misterium toków głuszcowych.

Po odbyciu dłuższej rozmowy „wywiadowczej” z Nadleśniczym, zostałem przez niego dowieziony na wieczorne zapady do właściwego oddziału lasu. Następnie zostałem doprowadzony do punktu rozejścia się, miałem wskazany kierunek dalszego samotnego posuwania się i przedstawiony dosyć dokładnie opis dobrego stanowiska podsłuchowego, kierunek odejścia stamtąd i drogę do punktu zejścia się po zapadach.

Wszystko składało się jak najlepiej, jak w książce kolejne ilustracje; odnajdywałem opisane mokradełka, grupy sosen, jałowców, bagienko i wyczuwałem już dalszą drogę do wyjścia.

Przyszedłem dość wcześnie. Stałem bardzo długo bez jakichkolwiek wrażeń, prócz symfonii drozdowej, która powoli milkła. Dwa koguty w odległości około dwustu metrów przecięły niebo na zachodzie, ciągnąc każdy w przeciwną stronę. Już „na wysokość człowieka” ciemno zrobiło się w lesie, choć góra żyła jeszcze światłem. Niestety, wiał bardzo silny wiatr górą. Czy to miało być powodem, że zapady dziś nie udadzą się?

Z tą myślą już-już wahałem się, czy nie odchodzić ze stanowiska, aby dowiedzieć się tylko, co działo się w innych stronach tokowiska, gdy nagle z szalonym łopotem wielki ptak usiadł za mną bardzo blisko i natychmiast zakrektał. Po chwili zaklapał i w ciągu kilku minut czynił to parokrotnie na zmianę.

Natychmiast po jego zapadzie z trudem obróciłem się ostrożnie dokoła swej osi o 180 stopni i zacząłem wypatrywać. Nic. Dźwięki wskazywały prawie precyzyjnie miejsce, wysokość zasiadu, a jednak ptaka nie mogłem zobaczyć. Po paru minutach wytężonej pracy wzrokowej, uparcie bijącej w jedno miejsce, wreszcie

spostrzegłem szyję i głowę. Resztę zasłaniała inna sosna, stojąca na drodze mego wzroku. Musiałem, chcąc obserwować całego głuszca, przesunąć się o dobry krok w prawo. Z wielkim trudem udało mi się to, choć pot wystąpił na czoło z wysiłku zachowywania ostrożności.

Teraz go widzę całego. Wspaniały. Siedzi normalnie, czasem odwraca się do mnie „oficyną", lecz za chwilę znów jest z profilu. Wreszcie zaklapał mocniej, dłużej, jeszcze raz, jeszcze raz i... zaśpiewał. Odległość od koguta wynosi najwyżej 20 kroków. Jakże ja wogóle spod niego wyjdę? — rozmyślam. A on spiewa — już dał trzy pieśni. Zakipiało we mnie — przypomniałem sobie, że przecież mam w rękach dubeltówkę Nadleśniczego i 4 wręczone mi naboje... Więc, korzystając z zupełnej ciemności na dole, łamię strzelbę, nabijam i w pieśń zamykam. Za chwilę strzelam (kogut przed chwilą dziwnie jakoś wyciągnął głowę ku górze).

W strzale nie odczułem żadnego szarpnięcia. Z lufy wytrysnął potok ognia chyba na 3 metry — potem ciemność i cisza. Kogut nie spadł, ale i nie odleciał. Po chwili widzę go znowu. Więc — drugi strzał. Wszystko się odbywa tak samo, tylko przychodzi jakby świadomość, że strzelam jakoś nie dość hucznie i chyba... bez śrutu.

Serce bije w gardle, w ustach susza, pod czaszką dziwne przerażenie, na czole krople potu.

Co to jest? Kogut siedzi i — klapie! Wszystko dobrze: mnie nie widzi, z huku sobie nic nie robi, ale ogień, ten nieprawdopodobny wytrysk ognia w jego kierunku! W ogniu tym przez ułamek sekundy musiałem mu być doskonale widocznym. Dalsze tłumaczenie zjawiska jest zupełnie zwyczajne: proch stary, zleżały, zapalający się z opóźnieniem, nie dający wybuchu w lufie; śruty padają tuż za lufą. Ale nie o to chodzi. Co to za kogut?

Gdy tak rozmyślam, głuszec przelatuje na inną sosnę o 5 kroków w prawo i nowy swój zasiad oznajmia natychmiast ponownym krektaniem. Nie! albo ja zwariowałem, albo ten kogut jest chory na umyśle.

Obserwuję go dalej, dosłownie w pocie czoła. Siedzi teraz dziobem do strzały sosny, po chwili przykurcza się cały, kładzie, jakby wzdłuż gałęzi.

Porywa mnie wściekłość. Już na nic nie zważając, nabijam powtórnie strzelbę, nie bacząc na dźwięki jakie tym wywołuję. Po prostu chcę go spłoszyć i odejść. Zamykam głośno broń. Nic — siedzi. Zaczynam posądzać, że jest ciężko ranny, ale ta myśl zaraz rozwiewa się, gdyż z nabojów tych nie mógł ani jednego śrutu dostać. A może te drugie dwa naboje będą lepsze — to mi podszepnęła przemożna pasja



„Tokujący głuszec" – rys. J. Kirylenko

myśliwska. Strzelam. Nic. Za minutę strzelam raz jeszcze, ten ostatni. Wszystko odbywa się tak samo, jak na początku. Tylko kogut już nie „leży", lecz siedzi znów na gałęzi, kilkakrotnie porusza głową w moją stronę i jeszcze raz krekcze! Widzę go na tle nieba, jak wyciętego z czarnego kartonu.

Zupełnie jestem wytrącony z równowagi, stoję teraz dalej jak najciszej w świecie i ofiarowuję się na długie czekanie, aż kogut nie pójdzie spać. Po dwóch — trzech minutach, jakby przekonał się, że już nie mam czym strzelać,a więc niepotrzebny mi jego cel — najspokojniej odleciał.

Czyż można podobny fakt zachowania się głuszca tłumaczyć tym jedynie, że od kilku lat nikt na tym tokowisku do głuszca nie strzelał? Temat ten stanowił treść dyskusji mojej z Nadleśniczym przez cały wieczór. Cały mój osobisty żal do gospodarza o wadliwe naboje utonął w niej całkowicie.

Władysław Zabiełło.

KAROL RING.

O konieczności zorganizowanej walki z drapieżnikami

Okupacja, działania wojenne, bezprawie, kłusownictwo, brak podziału na obwody łowieckie i związany z tym brak gospodarzy i opiekunów łowisk oraz obecny brak kadr wyrobionych myśliwych — doprowadziły u nas stan zwierzyny łownej w chwili obecnej do stanu katastrofalnego. Niektóre gatunki przedtem pospolitej w Polsce zwierzyny, jak sarna, kuropatwa i bażant na całych połaciach kraju wyginęły niemal do ostatniej sztuki.

Wszystkie wyżej wspomniane czynniki, redukując stan zwierzyny łownej, nadzwyczaj sprzyjały rozwojowi i rozmnożeniu drapieżników, jak lisy, jastrzębie, wrony, sroki oraz bezpańskie lub włóczące się psy i koty domowe. W ogromnej większości naszych łowisk, liczba drapieżników przewyższa stanowczo, czasami nawet wielokrotnie, łączną ilość sztuk wszystkiej zwierzyny łownej, znajdującej się na terenie.

Okupację, wojnę, bezprawie, mamy już za sobą. Poszanowanie prawa wzrasta, P. Z. Ł. dociera już wszędzie. Niszczycielska działalność człowieka została zahamowana i ulega ciągłym dalszym ograniczeniom. Natomiast niszczenie zwierzostanu przez dra-

pieżniki postępuje i wzmaga się nadal, albowiem w chwili obecnej ogromna większość myśliwych drapieżników nie tępi. Powodem tego jest:

1) Duża ilość myśliwych nowych, polujących wyłącznie na mięso.
2) Nieuświadomienie nowych myśliwych.
3) Brak i drożyzna amunicji.
4) Brak płatnej straży łowieckiej.
5) Brak inicjatywy i szerszej organizacji w tym kierunku.

Przy obecnym rozmnożeniu drapieżników w całym kraju, oderwana akcja pojedynczego dzierżawcy obwodu, a nawet Towarzystwa Myśliwskiego, jednoczącego kilka obwodów, rezultatu nie da, albowiem drapieżniki wybite chociażby całkowicie na jakimś niewielkim obszarze, w ciągu kilku dni lub tygodni zostaną zastąpione przez nadmiar drapieżników z sąsiedztwa.

O beznadziejności oderwanej walki z drapieżnikami przekonałem się na własnej skórze. Jako nadleśniczy państwowy i prezes najsilniejszego w okolicy Towarzystwa Myśliwskiego jednoczę w swych rękach tereny łowieckiej o łącznej powierzchni ponad 10.000 ha.

Nasz powiat Cieszyn pod względem łowieckim należy do lepiej zorganizowanych. Od roku 1945 posiada Łowczego i Pow. Radę Łowiecką P. Z. Ł. oraz cztery podokręgi łowieckie z podłowczymi. Od początku podzielony jest na prawnie uznane i bezsporne obwody łowieckie, każdy obwód posiada zatwierdzonego dzierżawcę, kłusownictwo w zaniku. Po zakończeniu wojny została w terenie wystarczająca ilość zwierzyny, umożliwiająca odbudowę zwierzostanów przedwojennych, a nawet dopuszczająca już w pierwszym sezonie ograniczony odstrzał. Pomimo na ogół dość uporządkowanych spraw łowieckich i dość racjonalnych sposobów polowania, ilość zwierzyny w powiecie ciągle maleje, albowiem wszystko niszczy nadmierna ilość drapieżników. W ostatnim roku kuropatwy i bażanty wyginęły prawie doszczętnie.

O nasileniu drapieżników w terenie świadczy najdobitniej fakt, że po trzechletniej intensywnej hodowli i ochronie zwierzyny oraz bezwzględnym tępieniu drapieżników, w ostatnim roku (od 1.III.47—31.I.48 r.) padło na terenach T. M. Brennica, obejmujących ca. 5.000 ha lasów, 5.000 ha pól i 250 ha stawów, okrągło 450 sztuk zwierzyny łownej, a 600 sztuk drapieżników. 600 sztuk psów, kotów, lisów, gołębiarzy, krogulców, wron, srok i sójek na 10.000 ha łowiska w połowie lesistego i wysokogórskiego, jest ilością zastraszającą, która całkowicie może uniemożliwić rozmnożę, a nawet byt zwierzyny łownej.

Tak wygląda sprawa w pow. cieszyńskim, stosunkowo dobrze stojącym pod względem łowiectwa, i na terenach T. M. Brennica gospodarowanych prawidłowo; o ile więc gorzej przedstawia się sprawa w innych powiatach i województwach Polski.

Jeśli chcemy utrzymać i przywrócić Polsce dawne zwierzostany, musimy przystąpić do zorganizowanej i radykalnej walki z drapieżnikami.

Sprawa jest aktualna i pilna, najskuteczniejsze bowiem i dające najlepsze wyniki hodowlane jest zwalczanie drapieżników wiosną i latem, jest to bowiem okres rozmnoży, lęgów i wychowu młodego pokolenia, zarówno drapieżników, jak i naszej zwierzyny łownej.

W prasie i wydawnictwach łowieckich powojennych problemu walki z drapieżnikami nie poruszono. Kilka wzmianek i artykulików, poruszających sprawę lisa czy jastrzębi, pisanych przez naukowców lub renomowanych autorów łowieckich przedwojennych, podchodzi do sprawy tępienia tych drapieżników bardzo ostrożnie. Bo to każde stworzenie musi mieć miejsce pod słońcem, bo to z tą szkodliwością nie tak źle, natomiast to policja sanitarna, tępienie myszy, węży, owadów, bo to zamiast gołębiarza można ubić myszołowa, bo to lis jest piękną ozdobą kniei i rozkładu, a krążący jastrząb piękną ozdobą nieba itp.

Panowie ci, bezsprzecznie znakomici teoretycy łowiectwa i sławni myśliwi przedwojenni, niestety z powodu wieku i stosunków, przeważnie mieszkając w mieście, z obecną rzeczywistością w terenie mało mają styczności. Zapatrzeni w swe wspaniałe wspomnienia białowieskich rysi i wilków, karpackich byków i odyńców, nie uważają za godne swego pióra zajmowanie się losem szarego zajączka czy kuropatwy. Tymczasem stosunki w łowiectwie polskim zmieniły się całkowicie. Po zlikwidowaniu wielkiej własności ziemskiej i przemysłowej, polowania na grubego zwierza skończyły się. Zwierz ten w bardzo ograniczonej liczbie pozostanie w większych kompleksach Lasów Państwowych i jego losem, niezależnie od ogółu myśliwych, zajmie się i zadecyduje Administracja L. P., natomiast 20.000 chcących polować wyznawców św. Huberta, musi całą swą energię i zainteresowanie zwrócić w kierunku zająca, kuropatwy, bażanta, a co najwyżej sarny. Jeśli tego nie zrobimy na czas, to za kilka lat, na modłę francuską lub włoską, będziemy strzelać z wielką emocją i efektownym ekwipunkiem — szpaki, skowronki i wróble.

Teorie o pożyteczności i oględnym tępieniu drapieżników miały swą rację w przepełnionych zwierzyną łowiskach Niemiec, Czech, Węgier i zachodniej Polski, gdzie jeden lis lub jastrząb przypadał na kilka set lub kilka tysięcy zajęcy i kuropatw. W takich warunkach zawsze syty, a więc leniwy i niedołężny lis czy jastrząb, mając wystarczającą ilość padliny i sztuk chorych czy słabych, z korzyścią dla myśliwego pełnił służbę policyjno-sanitarną, w braku chorego zająca lub na deser zjadając delikatniejsze myszki i żabki. Dzisiaj, gdy liczba drapieżników przewyższyła liczbę zwierząt łownych na obszarze Polski, teorie o ochronie drapieżników straciły swą podstawę i zastosowanie, a propagowanie ich skończy się wyginięciem podstawowych gatunków naszej zwierzyny łownej na przeciąg wielu, wielu lat. Równowaga w składzie fauny naszych łowisk została w ostatnich latach poważnie naruszona. Wysoka fala drapieżników wzrasta i będzie jeszcze jakiś czas wzrastać. Natura sama dąży do równowagi i w przyszłości fala ta załamie się sama. Nastąpi to wtedy, gdy po poprostu zbraknie zwierząt roślinno-żernych na wyżywienie drapieżników. Na ten moment my, myśliwi, czekać nie możemy. Jako hodowcy i użytkownicy zwierząt łownych, przeważnie roślinnożernych, musimy szkodliwą konkurencję drapieżników likwidować jak najśpieszniej.

Z powodu zmiany stosunku ilościowego zwierząt w kniei i polu oraz zmiany innych warunków bytowania, przedwojenne obserwacje co do trybu życia i żerowania naszych drapieżników obecnie nie są w odniesieniu do wielu gatunków ścisłe i prawdziwe.

Przedwojenny śląski drobny, tchórzliwy lisek jadał padlinę, czasami dodusił postrzałka czy jakąś chorą



Sen sprawiedliwego

sztukę. Normalnie, nocą, bez wysiłku i ryzyka dojadał myszkami i żabkami. Rzadki, tropiony i strzelany ciągle, nie podlegał działaniu praw konkurencji, selekcji i doboru naturalnego. Dzisiaj ten sam lis, nie tępiony i rozmnożony do niesłychanych ilości, stał się bezczelnym rabusiem, wpadającym w biały dzień po łup do ludnych osiedli, nie cofającym się przed utarczką z drobniejszym kundlem wiejskim. W kniei dochodzi do wagi 10 kg., jest groźnym rozbójnikiem, w lecie likwidującym całkowicie przyrost sarn i wszelką młodą i drobną zwierzynę. W zimie polując metodą wilczą we dwójkę lub trójkę, na śniegu, przy puchu lub cienkiej skorupie, zarzyna niezawodnie najsilniejszego zająca, a przy grubszej skorupie dorosłą i zdrową sarnę. Lis ten stał się już nie tylko szkodnikiem łowieckim, lecz i plagą ludności wiejskiej, niszcząc masowo drób i roznosząc wściekliznę i parchy.

W podobnie katastrofalnej sytuacji łowieckiej, jak my dzisiaj, znalazły się Niemcy w połowie ubiegłego wieku.

Reformy polityczne i społeczne, uwłaszczenie chłopów, nowe określenie prawa własności i wadliwa ustawa łowiecka, dozwalająca każdemu właścicielowi gruntu na swym, chociażby najmniejszym kawałku ziemi polować na wszelką zwierzynę bez ograniczeń, spowodowały, że w ciągu kilku lat w całych prawie Niemczech zwierzyna łowna została wybitą niemal do nogi. W terenie pozostały tylko ogromne masy drapieżników, przez nikogo niestrzelanych i duże kadry uzbrojonych i wyćwiczonych kłusowników.

Jak łowiectwo niemieckie wyszło z tego impasu?

1) Stworzono dobrą ustawą łowiecką, normującą wielkość obwodów łowieckich, czasy ochronne i sposoby polowania.

2) Wprowadzono drakońskie kary za kłusownictwo.

3) Stworzono silne organizacje łowieckie, dysponujące dużymi wpływami i środkami.

4) Stworzono popularną, liczną i dobrą prasę i literaturę łowiecką.

4. Przystąpiono do zorganizowanego i radykalnego tępienia wszelkimi sposobami drapieżników na obszarze całego państwa. Strzelano i niszczono wtedy wszelkimi sposobami wszystko, co posiadało kły i pazury, szpony i krzywe dzioby i żywiło się mięsem.

6) Po wytępieniu drapieżników, zasiedlono puste obszary importowaną z innych okolic zwierzyną i przystąpiono do racjonalnej mniej lub więcej intensywnej hodowli.

Praca ta naturalnie trwała wiele lat i dopiero po latach 50-ciu doprowadzono do tego, że w dobrym łowisku roczny odstrzał dochodził do 1 zająca i 4 kuropatw z 1 ha.

Z podobnych powodów posiadamy obecnie podobnie zdewastowany zwierzostan, lecz sytuacja łowiectwa polskiego jest o wiele łatwiejszą. Odbudowa naszych zwierzostanów powinna potrwać najwyżej kilka lat, ponieważ dysponujemy doświadczeniem i zdobyczami postępu łowiectwa i nauk przyrodniczych z ostatnich lat stu.

Porównajmy punkt po punkcie:

1) Mamy starą, dość dobrą ustawę łowiecką, a w robocie jest jeszcze lepsza. Musimy tylko dążyć i dopilnować, aby ustawa ta była przestrzeganą; niestety bowiem, ustawa łowiecka w czasie okupacji nie działała, a po odzyskaniu niepodległości w r. 1945 i 1946 na całym prawie obszarze Państwa nie była przestrzeganą i dzisiaj jeszcze wielu ludzi i wiele okręgów bezkarnie przekracza przepisy ustawy łowieckiej. O tych sprawach zresztą dość często mówi się i pisze.

2) Karanie kłusownictwa. Kłusownictwo ze strzelbą jest dzisiaj łatwe do rozwiązania, albowiem ze względów ogólno-państwowych stosuje się bardzo wysokie kary za nielegalne posiadanie broni palnej. Gorzej przedstawia się sprawa wnykarstwa, które w czasie okupacji i obecnie jest uprawiane nagminnie i jak dotychczas praktycznie zupełnie bezkarnie. Przed wojną walka z zagnieżdżonym wnykarstwem była rzeczą trudną, a dzisiaj stała się rzeczą beznadziejną. Aby wnykarstwo zlikwidować, należało by poczynić kroki celem zlikwidowania przestępstwa tego jako szkodnictwa państwowego, karanego przez Komisję Specjalną.

3) Organizację myśliwych mamy; należy tylko bardziej rozwinąć życie i ruchliwość organizacyjną P. Z. Ł.

4) Prasa i literatura łowiecka. Posiadamy jedyny periodyk myśliwski „Łowca Polskiego", który z różnych względów wychodził jako 2-miesięcznik, a dopiero w roku bieżącym, jako miesięcznik. Polska książka myśliwska w 90% w czasie wojny została zniszczona. Istnieje wśród myśliwych i w społeczeństwie wielki głód pisanego słowa łowieckiego ze wszystkich działów, a więc wiadomości bieżących, prac naukowych, podręczników, oraz beletrystyki.

Myśliwych praktykujących jest w Polsce ponad 20.000, myśliwych nieczynnych i sympatyków łowiectwa jest wielokrotnie więcej. „Łowca Polskiego" należało by przekształcić w tygodnik i wydawnictwo łowieckie, wypuszczające cały szereg dodatków, broszur, a nawet większych książek. Przy należytej redakcji nakład 50.000 egzemplarzy jest zupełnie zapewniony.

6) Na import i sztuczną hodowlę zwierzyny nie możemy sobie pozwolić przed uregulowaniem 5-ciu poprzednich kwestji.

5) Wytępienie drapieżników. Sprawa ta po wojnie leży zupełnym odłogiem zarówno w terenie, jak w prasie i wydawnictwach. We wszystkich innych sprawach coś się robi i wcześniej lub później kwestje te zostaną należycie rozwiązane. Kwestja wytępienia drapieżników nadmiernie rozmnożonych jest w tej chwili kwestją zaprzepaszczenia lub uratowania naszej drobnej zwierzyny łownej, a przede wszystkim podstawy naszych łowisk — zająca, kuropatwy, kaczki i bażanta.

W najbliższym okresie P. Z. Ł. w pierwszym rzędzie musi zająć się tą sprawą. Niebezpieczeństwo jest jeszcze do opanowania, za rok lub dwa będzie za późno. Realne drogi do rozwiązania tego problemu są następujące:

1) Rozwinąć odpowiednią propagandę i uświadomienie naszych myśliwych przez umieszczanie w „Łowcu Polskim" szeregu artykułów, omawiających i ilustrujących szkodliwą działalność drapieżników w łowisku oraz podających sposoby ich tępienia.

2) Wydać kilka okólników do organizacji terenowych oraz kilka popularnych broszur na te tematy.

3 Fundusze państwowe i organizacyjne P. Z. Ł. na wszystkich szczeblach (Warszawa, województwo, powiat), przeznaczone na podniesienie łowiectwa, przeznaczyć przede wszystkim na cele tępienia drapieżników.

4) Ułatwić myśliwym tępienie drapieżników przez dostarczanie za pośrednictwem łowczych jaj fosforowych, względnie trucizn i przepisów do zatruwania jaj na miejscu dla trucia wron i srok.

Naturalnie, ze względu na bezpieczeństwo ludzi i własnych psów myśliwskich, należy prowadzić kontrolę i ewidencję zatrutych jaj i po ukończeniu akcji, nic nie mówiąc miejscowej ludności, nie pobrane przez drapieżniki jaja wyzbierać skrupulatnie i zniszczyć.

Większość drapieżników i to tych najgroźniejszych (lis, kot, gołębiarz i krogulec) trzeba strzelać. Jak już wspomniałem na początku, ogół myśliwych dzisiaj do drapieżników nie strzela, a myśliwi polujący specjalnie na drapieżniki (poza lisem w zimie dla skóry) należą wprost do unikatów. Trzeba na całym terenie państwa zorganizować masowy odstrzał drapieżników przez wszystkich myśliwych pod kierunkiem P. Z. Ł. Widzę w tym kierunku następujące możliwości realne, częściowo wypróbowane po wojnie przez nasze Towarzystwo Myśliwskie „Brennica".

1) Rozwinąć w „Łowcu" silną propagandę.

2) Wprowadzić do regulaminu polowań na drobną zwierzynę punkt nakładający na myśliwych obowiązek strzału do pojawiającego się w polu drapieżnika. Jeśli strzał do drapieżnika nie zostanie oddany, to łowczy, względnie prowadzący polowanie, zabiera doraźnie z torby danemu myśliwemu dwa naboje na fundusz odstrzału drapieżników. Sposób ten stosowany jest w naszym Towarzystwie.

3) Dostarczyć myśliwym tańszych ładunków do odstrzału drapieżników w formie rozdziału przez łowczego powiatowego ładunków po zniżonych cenach wg. pewnego klucza, po złożeniu przez myśliwego dowodów strzałowych (ogony lub łapy). Różnicę ceny można uzyskać ze specjalnego rabatu fabrycznego, lub subwencji państwowej czy P. Z. Ł.

4) Zorganizować rejonowe konkursy odstrzału drapieżników, z nagrodami za największą ilość uzyskanych punktów w formie broni, akcesorii i amunicji myśliwskiej oraz dyplomów lub żetonów pamiątkowych.

Jako wzór i przykład rejonowego konkursu odstrzału drapieżników, podaję poniższe zawiadomienie i warunki konkursu odstrzału drapieżników, odbywającego się obecnie w podokręgu P. Z. Ł. Skoczów, powiatu cieszyńskiego w czasie od 1 listopada 1947 do 31 maja 1948.

Warunki konkursu są następujące:

Drapieżniki punktowane w konkursie muszą być strzelane w obrębie tut. Okręgu i punktowane będą:

Wrona siwa, sroka, sójka	1 punkt
kot, pies i łasice	2 punkty
jastrzębie: gołębiarze i krogulce	3 punkty
lisy (młode) od 1.IV—31.V.	2 punkty
lisy (stare) od 1.IV—31.V.	10 punktów.

Jako dowód strzału, myśliwy musi przedłożyć z drapieżników skrzydlatych parę nóżek, z kotów, psów, łasic — koniec ogona, z lisów całą lub pół kity. Dowody strzałowe z każdego miesiąca muszą być do dnia 10 następnego miesiąca złożone, za pokwitowaniem u podłowczego w Skoczowie.

Nagrody będą stanowić wartościowe upominki myśliwskie, ponadto otrzymują myśliwi zwrot naboi w ilości osiągniętych punktów od pierwszej lokaty aż do wyczerpania funduszu.

Konkurs ten jest prawdopodobnie pierwszą tego rodzaju imprezą w Polsce po wojnie. Obejmuje on obszar 21 obwodów łowieckich o łącznej pow. ca. 19.000 ha i bierze w nim udział około 60 myśliwych. Konkurs ten daje doskonałe wyniki i do dnia dzisiejszego (31.I. 1948) mimo, że główny sezon odstrzału drapieżników będzie dopiero na wiosnę, niektórzy myśliwi już dochodzą do 100 punktów. Efekt hodowlany należy więc uważać za pewny.

Efekt propagandowy w najbliższym promieniu jest też duży. Trzy inne podokręgi łowieckie w powiecie cieszyńskim na gwałt organizują u siebie konkursy odstrzału drapieżników jeszcze na ten rok i Powiatowa Rada Łowiecka w dniu 30.I.1948 r. uchwaliła przechodnią nagrodę za odstrzał drapieżników, przyznawaną corocznie temu podokręgowi, który uzyska maksymalną ilość punktów, oraz corocznie jeden karabinek i pewną ilość amunicji dla indywidualnych rekordzistów powiatu.

Jak widać z powyższego, przeprowadzenie konkursu odstrzału drapieżników nie jest rzeczą trudną i przypuszczam, że po przeczytaniu niniejszego artykułu, szereg Łowczych w swych powiatach spróbuje urządzić podobną rzecz.

5) Wprowadzić w Lasach Państwowych premie za odstrzał drapieżników dla personelu Administracji L. P. w postaci amunicji, względnie gotówki. Lasy Państwowe są dzisiaj jedynym właścicielem ogromnych łowisk leśnych i posiadają lwią część fachowych sił łowieckich w Polsce.

Prawda, że łowiectwo dzisiaj nie przynosi dochodów, zwierzostan wytępiony i Lasy Państwowe mają przede wszystkim do spełnienia kosztowny i trudny obowiązek przetrzymania i utrzymania naszej zwierzyny grubej. Jednak drobna zwierzyna powinna też być naturalnym i licznym mieszkańcem naszych lasów. Duża ilość drobnej zwierzyny zmieści się w lesie bez szkody dla rozwoju drzewostanów. Po odpowiednim rozmnożeniu zwierzyna drobna da Lasom Państwowym dużo większe dochody od grubego zwierza. Bez udziału Lasów Państwowych zwalczanie drapieżników w kraju nigdy nie da pełnych rezultatów. Ze względu na przyszłość naszego łowiectwa i przyszłą dochodowość łowiectwa w Lasach Państwowych, Lasy Państwowe na swych terenach muszą przystąpić do walki z drapieżnikami, które naprawdę skutecznie mogą przeprowadzić tylko przez wypłacanie personelowi strzałowego za ubite drapieżniki. Leśnik dzisiaj jest tak słabo wyposażony, że mimo największego zamiłowania nie stać go na strzelanie własnym kosztem rozmnożonych drapieżników na ogromnych obszarach leśnych, często bowiem nawet nie stać go na kupienie strzelby.

Większa część leśników dziś strzelb nie posiada. Tradycje i zamiłowania łowieckie wśród leśników giną. Stanowi temu trzeba pośpiesznie przeciwdziałać, bo cóż się stanie ze zwierzostanami naszych kniei, gdy administratorzy i strażnicy tej kniei, pozbawieni zamiłowania łowieckiego, staną się suchymi drzewiarzami, zapatrzonymi w budżet, regulamin służbowy i własne całe buty. Ucierpi na tym nie tylko łowiectwo, ale i gospodarka drzewna, bo leśnik-myśliwy na każdym szczeblu służbowym, mimo największego nawału pracy, zmęczenia i psiej pogody, niezależnie od pory dnia i roku wejdzie do każdej dziury w lesie tam, gdzie najskrupulatniejszy urzędnik-drzewiarz całymi latami nie zaglądnie.

W słowach ogólnych przedstawiłem jako terenowiec nie bardzo mocny w piśmie i stylu, najbardziej palące potrzeby naszego łowiectwa.

Tematy te powinny być rozwinięte szerzej przez specjalistów łowiectwa, jak i przez kol. myśliwych z terenu. Nie jedno twierdzenie niniejszego artykułu spotka się z mniej lub więcej słuszną krytyką. Trudno, ten tylko nie błądzi, kto nic nie robi. Zasadniczym celem moim jest spowodowanie chociażby tylko na łamach „Łowca" pewnego ruchu koło tych zagadnień, a z ruchu tego na pewno skorzysta też coś nie coś nasza zwierzyna w terenie.

Brenna, dn. 3 lutego 1948 r.

Nadleśniczy N-ctwa Brenna (pow. Cieszyn).

Inż. Ring Karol

Przypisek Redakcji

Zamieszczając odezwę kol. Ringa, którego założenia na obecny okres przejściowy, do czasu poprawy zwierzostanu podzielamy, przypominamy, że jednym z najskuteczniejszych sposobów walki z nadmiarem szkodników skrzydlatych jest polowanie z puhaczem. Znakomity ornitolog, krzewiciel ukochania przyrody, ś. p. Jan Sztolcman, podaje w dziele swoim „Łowiectwo", podręczniku dla szkół leśnych i rolniczych (wyd. „Gazety Rolniczej" z 1918 r.), szczegółowy opis organizacji takiego polowania i stwierdza, że „ten rodzaj polowania daje doskonałe rezultaty i dlatego w każdem porządnem gospodarstwie łowieckiem powinien się znajdować puhacz."

Okoliczność, że puhacz podlega dziś całkowitej ochronie, nie wpływa na zmianę tego stanowiska, gdyż oswojonego puhacza właściciel-myśliwy otacza szczególnie troskliwą opieką, podobnie jak sokoły łowne, fretki czy psy myśliwskie. A o ileż bardziej myśliwskiem jest usuwanie nadmiaru drapieżników przez odstrzał ich przy pomocy puhacza, niż używanie trutek!

Red.

WŁADYSŁAW ŁATKIEWICZ.

JAK TO BYŁO NA TOKACH

Zbudził się świat z zimowego odrętwienia, spłynęły wody, słońce swym ciepłem pobudziło chęć do życia. Zaloty owadów, ptactwa i zwierzyny odnalazły warunki prawiecznego porządku rozmnoży. Otwarły się obory, stajnie, wyszła domowa chudoba, grzejąc się na dymiącej oparami ziemi. Otwarły się okna domów i chat, a komórki naszego bytowania wchłaniają bezmiar wilgotnego jeszcze powietrza. Rolnik już w polu, tylko mieszczuch błąka się wśród gromady jemu podobnej po ulicach zapowietrzonego miasta.

Wśród tych tłumów istnieje pewien specyficzny gatunek rodzaju ludzkiego, to... myśliwi. Na nich to skutki zbudzenia przyrody najpoważniejszy wpływ wywierają. Schodzą się, szepczą, umawiają się, piszą, czekają, rozpytuja, czy już, a kiedy, czy pewne?... Nie jeden taki coraz częściej spogląda z ukosa na futerał, kryjący jego skarb — broń i nasuwa na myśl porównanie z młodym szczeniakiem, któremu pan i władca każe warować,— położywszy przed nim kawałek kiełbasy. Psina zdaje się nic nie widzieć, ale czeka na słowo „Pyf", bo wie, że go ono nie minie.

Wieluż to myśliwych czeka na podobne hasło!

A hasło to wypowie natura swojemi promieniami słońca, zielonością listków, obłoczkami na tle jasno niebieskiego nieba, muzyką ptasząt, porykiem bydła i wesołym kręceniem ogonka „Azorka".

Zagadnienie najważniejsze, to pytanie: czy tokują i jak... Wszystko inne na drugim planie.

Ostatnie przygotowania dokonane! A!... jeszcze dziura w gumowym bucie, jeszcze zmienić śrut, bo to przecie i kaczory i słonki,— wszystko się trafić może.

I nadszedł ten dzień, gdy matka natura zawołała „Pyf", a sołtys wsi Zręby, to listownie potwierdził.

Chwyt za bagaże, rzut oka na kolanko, ...a kiedy przyjedziesz, a nie łaź po błocie... a klucz zostaw... a nie pij... a...,.. „Do widzenia!"

Wszystko było przygotowane na czterech, a od deszczu były karty do bridża, zamiast parasola. Duża, wyporządzona i wywietrzona izba, sołtys dawny wojskowy, i żona jego, przystojna, rosła tamtejsza mieszkanka, i mały Druś, przyszły leśniczy, bo za lasem i myśliwymi tęsknił.

Do terenu 2 km, budki cztery przygotowane, zrobione z jedliny, przewiązane u góry powrósłem, przysadziste, z dwiema strzelnicami, z ławeczką niską, dołek na nogi wykopany, mała wiązka słomy do siedzenia.

Teren, to duża polana po starej porębie, z jednej strony duży las, po przeciwnej brzeźniak, na skraju którego rów z wodą. Budki ustawiono dwie pod lasem i dwie nad rowem, trochę na wyższym poziomie. Losowaliśmy budki, wyciągnąłem drugą od lasu, sąsiadem był kuzyn Kazimierz W., a naprzeciwko wuj Jasio i płk. C. Dobra, zgrana kompania, jaką może wytworzyć długoletnie, wspólne, łowieckie obcowanie. Zmęczeni drogą i przejazdem końmi po fatalnej drodze, usnęliśmy jak susły...

*

Kto serca i dusze zaprzedał łowiectwu, temu znane są te przejścia do budek, ten chłód wilgotnej nocy, co sprawia, że ząb na ząb nie trafia, ostrożność chodzenia przez bezdroża leśne, fantastyczne, mroczne kształty drzew i ulga, jaką odczuwa się wychodząc z lasu.

Wszystko to już było i wszystko za każdym razem jest inne. Rozgościłem się w moim pałacu, poprawiłem to i owo, okręciłem nogi pledem, no i czekam świtu.

Już jaśniej... już... już oznaka budzącego się dnia łamie przemoc ciemności!

Oto zafurkotał jeden, potem drugi, zapadły w trawę.

Nagle, o zgrozo! Piekielny hałas nad głową. Jakieś „bydle" siadło na czubie mej budki i trzepie skrzydłami i depcze nogami, a ty siedź spokojnie, bo o 20 centymetrów masz ptaka od głowy! Zamarłem, co tu robić?!... A ptak posiedział parę minut i sfrunął... Jeszcze za wcześnie, jeszcze rozróżnić terenu nie można... Cierpliwości.

Jeszcze chwila i znowu na budkę zwala się inna „hołota". Co u licha?!, wymyśliły sobie koguty poczekalnię na budce. Chyba tylko dlatego, że z boku wysoki las, budka to jedyne wzniesienie. Mało tego, jak sfrunęły, to nie siadły blisko, a poszły na drugą stronę pod Jasia,— poszedł i ten co siedział nade mną.



„Tokowik" *rys. K. Tarnowski*

Rozgarnąłem trochę czubek budki, by coś widzieć.— Już jasno! W pobliżu siadły dwie kury, a zaraz potem jeden kogut obok,— a drugi... na budkę. — Miałem już dosyć tego. Jak się do niego dobrać, strzelić przez gałązki w brzuch,— złapać za nogi — nie bardzo możliwe,— jak to zrobić, aby było i po łowiecku i z pożytkiem. Wstyd się przyznać. Jednak kogut przejrzał widocznie moje zamiary, bo pozostawił mi pamiątkę, która po rozluźnionych gałązkach spłynęła na pled, a sam poleciał na romans z przyjaciółką siedzącą przed budką.

Zemściłem się! (choć brzydko). Buchnęło! I pojechał ze mną do Warszawy... Do dziś nie rozumiem przyczyny tego wypadku, tłumaczę to tym, że budki stały już dawno, ptaki przywykły, a po drugie — może również tym, że powrósła, które wiązały czuby, zrobione były ze źle wymłóconego zboża, bo sam jeszcze znalazłem kilka ziarenek w kłosach, co prawdopodobnie ptactwo wabiło.

*

Doczekaliśmy końca godów i z sześcioma lirami wracaliśmy na śniadanie, na którym kompania moja uradziła, aby na przyszły raz strzelbę zostawić, a zabrać... wnyki.

Ale i Ka■ia to również spotkało, któremu przypadło to miejsce w następnym dniu toków.

Wł. Łatkiewicz.

W dniu 6 maja 1948 roku (niedziela) o godzinie 9 min. 30, odbędzie się w lokalu Polskiego Związku Łowieckiego przy ulicy Nowy Świat 35, **Posiedzenie Rady Naczelnej Polskiego Związku Łowieckiego** z następującym porządkiem obrad:

1. zagajenie
2. odczytanie protokółu z poprzedniego zebrania
3. sprawa ochrony i podniesienia zwierzostanów w Polsce
4. 25-o lecie Polskiego Związku Łowieckiego
5. sprawy bieżące
6. wolne wnioski.

ZAPOLSKI-DOWNAR HENRYK.

GDYBY ZAJĄC PRZED MYŚLIWYM SIADAŁ

Gdyby zając przed myśliwym siadał, nie pudłowalibyśmy, ale nie mielibyśmy i zajęcy. Na szczęście, czy też nieszczęście, jest inaczej. Zwierzyna przed myśliwym nie przystaje i częstokroć najlepszy strzelec, w najlepszych warunkach strzału, pudłuje.

Jaka jest tego przyczyna?

Jeśliby zwierzyna była nieruchomą, strzelalibyśmy do niej jak do nieruchomej tarczy. Ponieważ jednak jest przeważnie w ruchu, a od chwili, gdy widzimy zwierzynę na muszce i decydujemy się na strzał, do chwili, gdy śrut uderza w zwierzynę, upływa pewien czas, przeto przy strzelaniu wprost w zwierzynę śrut trafiłby w próżnię — w miejsce, gdzie zwierzyna była w chwili wycelowania w nią, lecz skąd, zanim śrut doleciał, zdążyła uciec. Powstaje konieczność strzelania do będącej w ruchu zwierzyny na większą lub mniejszą odległość przed nią, czyli, mówiąc po myśliwsku, strzelania z „zakładaniem".

W tym zakładaniu, a w szczególności w wielkości zakładania leży sedno zagadnienia.

Wielkość zakładania zależy od trzech zasadniczych czynników: szybkości ruchu zwierzyny, szybkości reagowania myśliwego i szybkości lotu śrutu. Szybkości samego wystrzału, jako zbyt małej (kilka tysięcznych sekundy), można nie brać w rachubę.

Ze względów praktycznych, ułatwiających obliczanie, mierzymy w metrach szybkość ruchu zwierzyny, w sekundach zaś — szybkość reagowania myśliwego i szybkość lotu śrutu.

Obliczywszy przestrzeń, jaką przebiegnie lub przeleci zwierzyna od chwili decyzji strzelania do chwili trafienia śrutu w zwierzynę, otrzymamy wielkość założenia.

Przeciętna szybkość ruchu zwierzyny w czasie jednej sekundy wynosi:

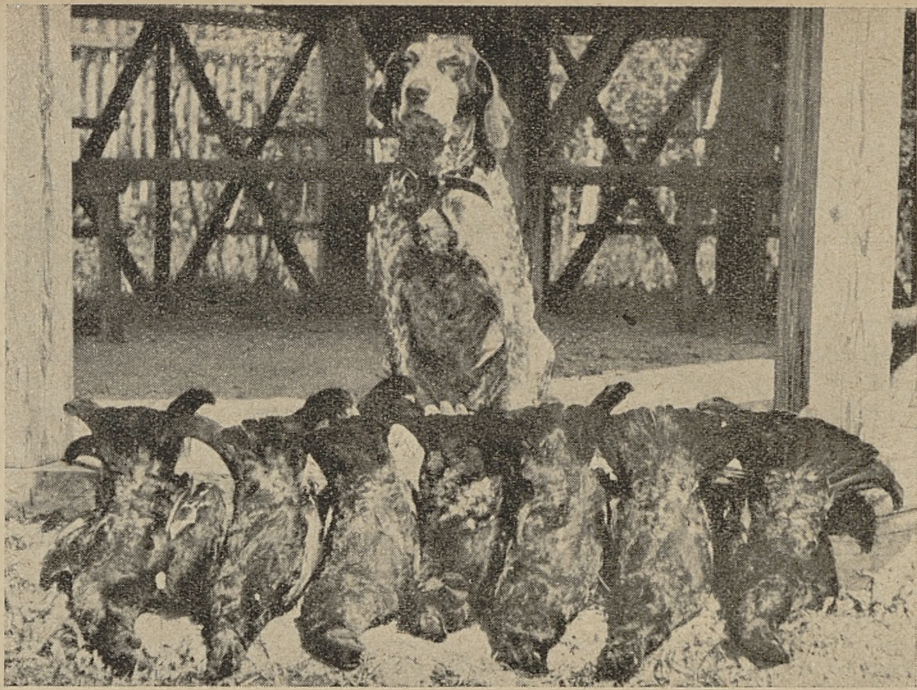
kaczka, gołąb	15 mtr.
kuropatwa	13 „
bażant	11 „
zając	5—10 „

Ustalono, że myśliwy młodszy lub o szybszym reagowaniu nerwów traci, od chwili zobaczenia zwierzyny na muszce i decyzji strzelania do chwili pociągnięcia palcem spustu, około 0,01 sekundy czasu. Myśliwy starszy lub o powolniejszej reakcji nerwów traci około 0,06 sekundy.

Wreszcie obliczono czas lotu śrutu rozmaitej grubości na różne odległości. Czas ten w ułamkach sekundy wykazuje poniższe zestawienie:

Odległość strzału w metrach:		Grubość śrutu w milimetrach: 3,5	3,0	2,5	2,0
		Czas lotu śrutu w sekundach:			
20	—	0,057	0,058	0,059	0,062
25	—	0,091	0,095	0,097	0,103
35	—	0,130	0,138	0,143	0,153
45	—	0,175	0,188	0,198	0,218
55	—	0,230	0,255	0,278	0,322

Dla obliczenia wielkości przestrzeni, jaką przebiega lub przelatuje zwierzyna, mnożymy szybkość biegu wzgl. lotu zwierzyny przez sumę czasu reagowania nerwowego i czasu lotu śrutu.



Przed gajówką w sezonie ioków *fot. W. Puchalski*

Przypuśćmy, że potrzebujemy obliczyć wielkość założenia dla myśliwego szybko reagującego przy strzale do gołębia na odległość 35 mtr. śrutem grubości 2,5 mm. Szybkość gołębia — 15, czas reakcji nerwów — 0,01, czas lotu śrutu — 0,143. Obliczamy: $15 : (0{,}01 + 0{,}143) = 15 : 0{,}153 = 2{,}295$. A więc należałoby założyć przed ptaka około 2 mtr. przeszło.

Obliczając w tych warunkach założenie dla myśliwego o powolnym reagowaniu nerwów (0,06 sek.), otrzymamy wielkość założenia około 3 mtr.

Obliczając wielkości założeń dla myśliwego o przeciętnej reakcji nerwów (0,03 sek.), na odległość strzału 45 mtr. do kuropatwy śrutem 3,5 mm. i śrutem 2,0 mm., otrzymamy wielkości założeń dla śrutu 3,5 mm.—2 mtr. 66 cm., dla śrutu zaś 2,0 mm.—3 mtr. 22 cm.

Z ostatnich przykładów widzimy jaki wpływ na wielkość założeń mają szybkość reagowania nerwowego i grubość śrutu. Należy zauważyć, że o ile szybkość reagowania nerwów ma jednakowe znaczenie dla każdej odległości strzału, o tyle grubość śrutu ma większe lub mniejsze znaczenie zależnie od odległości strzału, gdyż śruty drobniejsze na większej odległości bardziej tracą na szybkości niż śruty grubsze. Strzelając przeto śrutem cieńszym na większą odległość, należy zakładać więcej, niż strzelając śrutem grubym, szczególnie na odległość prezkraczającą 35 mtr.

Oczywiście, tego rodzaju obliczenia mogą być dokonywane tylko w przybliżeniu dla ogólnego zorientowania się w zagadnieniu, gdyż na wielkość założenia wpływa nie tylko szybkość reakcji nerwowej strzelającego, grubość śrutu i szybkość ucieczki zwierzyny, lecz nadto kierunek ucieczki zwierzyny — prostopadły lub skośny do kierunku strzału, a nawet kierunek i siła wiatru.

Przy kierunku ruchu zwierzyny po linii prostopadłej do linii strzału, ruch zwierzyny jest stosunkowo najszybszy — zwierzyna najszybciej przemyka przez linię strzału, przy kierunku ruchu po linii skośnej — wolniej.

Szybkość reagowania nerwowego zależy nie tylko od wrodzonych właściwości strzelającego, lecz właściwości te zmieniają się zależnie od wieku, chwilowej dyspozycji lub niedyspozycji, stanu zdrowia, zmęczenia, wypitego alkoholu, którego mała ilość zazwyczaj przyspiesza reagowanie nerwów, a ilość większa przytępia, zwalnia.

Szybkość lotu śrutu zależy nie tylko od grubości śrutu, lecz i od jakości broni, jakości prochu, przybitek, wielkości ładunku prochu, zwiększenie którego zwiększa szybkość lotu śrutu pod warunkiem, że przez nadmierny ładunek nie spowodujemy zbytniego rozrzutu śrutu, co zmniejsza szybkość, bo śruciny, lecące luźniej, gorzej pokonują opór powietrza.

Wreszcie, może mieć znaczenie wiatr, którego przeciętna szybkość wynosi około 3, 6, 9 mtr., zależnie od tego czy mamy wiaterek, wiatr lekki, czy wiatr silny. Wiatry bardzo silne o charakterze burzy mogą dochodzić nawet do 30 mtr. na sekundę. Możemy jednak nie brać ich pod uwagę, gdyż w taką pogodę zazwyczaj nie polujemy. Jeżeli zwierzyna ucieka pod wiatr, musimy zakładać więcej, bo taki wiatr będzie znosił śrut w kierunku zwierzyny. Przeciwnie, przy ucieczce zwierzyny z wiatrem możemy zakładać nieco mniej. Oczywiście należy przytym uwzględnić szybkość ucieczki samej zwierzyny idącej z wiatrem lub pod wiatr, a więc uciekającej szybciej lub wolniej.

Z powyższego widzimy, że o dokładnym obliczeniu wielkości założenia nie może być mowy. Artykuł niniejszy ma za zadanie tylko ogólne zorientowanie myśliwych. Myśliwi, mający za sobą długoletnie doświadczenie, instynktownie wyczuwają wielkość potrzebnego założenia zależnie od warunków strzału. Wobec jednak ogromnej różnorodności tych warunków, nie wstydźmy się swych pudeł. Myśliwych nie pudłujących nie ma*).

H. Zapolski-Downar.

*) Dane liczbowe pochodzą z pracy Karola Lancastera p. t. „Sztuka strzelania i polowania"— w tłumaczeniu polskim J. S.

ROZŁADOWYWAĆ BROŃ!

Od Śląskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej otrzymaliśmy urzędowe powiadomienie o następującym wypadku, który miał miejsce w Nadleśnictwie Pokój pow. Opolskiego.

W dniu 29 lutego odbywało się polowanie członków Koła Myśliwskiego im. św. Huberta na dziki. Przy przechodzeniu z jednego miotu do drugiego, inż. K., biorący udział w polowaniu, poślizgnął się i upadł. Spowodowało to wystrzał broni nierozładowanej, chociaż zabezpieczonej, i kula Brennecke trafiła w kark idącego po przeciwnej stronie linii inż. J. Jaworskiego, który upadł i stracił przytomność. Na szczęście kula przeszła nie uszkadzając kręgosłupa i wyszła pod uchem, nie naruszając żadnej kości, ani arterii. Rannego przewieziono do szpitala, gdzie poddano opiece lekarskiej, stwierdzając, że narazie nie grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Z wypadku tego sporządzono protokół, przekazany Komendzie M. O., a równocześnie Łowczy P. Z. Ł. na powiat Opole wystąpił do Rady Wojewódzkiej we Wrocławiu z wnioskiem o zawieszenie sprawcy wypadku, inż. K., w prawach członka Polskiego Związku Łowieckiego.

Uważamy za konieczne podać przykry ten wypadek, który tylko cudem nie skończył się katastrofą, do powszechnej wiadomości Kolegów naszych, w nadziei, że posłuży on za przestrogę do zaprzestania bagatelizowania sprawy tak poważnej i zasadniczej, jaką jest obowiązek rozładowywania broni **przy każdym zejściu ze stanowiska.**

Nie może tu służyć za usprawiedliwienie ani bliska odległość, ani znajomość drogi, ani pewność zabezpieczenia czy sposobu noszenia broni. Z chwilą opuszczenia stanowiska broń **musi być rozładowywana**, a wypełnianie tego nakazu powinno być sprawdzane dodatkowo przy każdym wsiadaniu na wóz, przy opieraniu broni o drzewo lub zawieszaniu jej na gałęzi podczas śniadania, wreszcie przy wejściu do obejścia gospodarskiego czy domu myśliwskiego.

Redakcja.

STEFAN WIKTOR.

Przyrządzanie i zakładanie lizawek i ich działanie

Po tak wielkim wyniszczeniu zwierzyny w naszych łowiskach przez działania wojenne, jednym z pierwszych zadań każdego myśliwego powinna być troska o jak najszybsze doprowadzenie jej do stanu przedwojennego. Osiągniemy to, zaprowadzając racjonalną gospodarkę łowiecką pod względem odstrzału, hodowli, a przede wszystkim przez jej dokarmienie. Bardzo ważnym środkiem do podniesienia i utrzymania zwierzostanu w łowisku są lizawki. Aby ustalić, czy lizawki w danym łowisku są potrzebne, należy zbadać zawartość soli w pokarmach naturalnych tegoż łowiska. O ile warunki są normalne, to ilość soli zawartej w pokarmach roślinnych jest wystarczająca dla zaspokojenia potrzeb organizmu zwierza i wtenczas zwierzyna albo wcale nie będzie korzystać z założonych lizawek, lub tylko bardzo mało. Przy braku soli w glebie zawartość jej w roślinach zmniejsza się. Należy brak ten w takich rewirach uzupełniać odpowiednią dawką soli kuchennej lub bydlęcej, zadawanej zwierzynie w tak zwanych lizawkach.

Sól zwiększa u przeżuwaczy apetyt, pobudza pragnienie, ułatwia trawienie, ogółem wzmacnia organizm i jest jednym ze środków umiejscawiających w łowisku zwierzynę płową.

Poniżej podaję przepis na praktyczny, prosty i tani sposób urządzania lizawek. Suszymy żółtą, tłustą glinę, a po dokładnym wysuszeniu, a następnie sproszkowaniu przesiewamy przez gęsto sito, by usunąć z niej wszelkie zanieczyszczenia, jak grube ziarenka piasku, kamyczki i ewentualnie kawałeczki szkła, które mogłyby powodować kaleczenie języka u zwierzyny podczas lizania. W ten sposób oczyszczoną glinę mieszamy następnie ze solą kuchenną lub bydlęcą w stosunku 2/3 gliny i 1/3 soli. Po dokładnym wymięszaniu gliny z solą, zwilża się ją wodą, by utworzyć rodzaj ciasta, średnio gęstego, dodajemy na 1 litr tej masy 1 do 2 łyżek wapna fosforowego, które doskonale działa na rozwój kości i poroża. Tak sporządzoną masę (ciasto) wkłada się do skrzynek drewnianych o wymiarach 80 cm na 100 cm., dla jeleni i 50 cm. na 50 cm. w kwadrat dla saren. Należy tu przestrzegać, by skrzynki nie były zrobione ze świeżych desek, albo aby nie były pomalowane farbą olejną, gdyż zapach ten odstrasza zwierzynę. Skrzynki napełnia się w ten sposób, by glina tworzyła rodzaj kopuły, w środek której wtyka się kołek, który ma sięgać aż do dna paczki. Tak włożony kołek przeszkadza lisom, tchórzom i kunom wchodzenie na paczki i zanieczyszczanie ich, Skrzynki te umieszcza się zakopane do połowy wysokości w ziemi, albo umocowuje na niezbyt wysokich słupkach.

Również praktycznym urządzeniem lizawek jest umieszczanie ich w odpowiednio wydrążonych pniach. Za granicą, a przeważnie w Niemczech, wyrabiano specjalne kamienie lizawkowe w formie cegiełek, które zakładano na pniakach. W skład ich wchodziła mocno sprasowana sól z domieszką wapna fosforowego i dodatkiem anyżu lub kminku jako przynęty ze względu na ich aromat. Doświadczenie wykazało, że zwierzyna chętnie korzysta z wszelkiego rodzaju tych kamieni, poza tym mają one jeszcze i tę dobrą stronę, że można je łatwo transportować nawet i wgłąb niedostępnych rewirów.

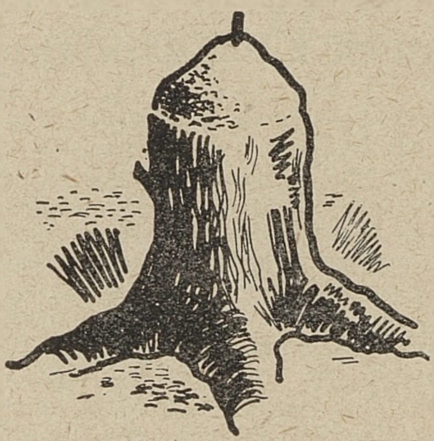
W wysokich górach praktykowano jeszcze jeden bardzo prymitywny sposób, a mianowicie sypano wprost w niewysychające bagienka pewną ilość soli. Wskazane jest posypywanie lizawek dla przynęty jagodami jarzębiny, żołędziami, owsem, proszkiem korzenia fiołkowego, lub kiełkami słodowymi, także umieszczanie w pobliżu jemioły.

Lizawki należy zakładać zawsze w środku łowiska, nigdy koło granic. Najodpowiedniejszym miejscem są polany wśród gęstego lasu, na które zwierzyna płowa w zimne dnie jesienne i zimowe wychodzi, aby się wygrzewać na słońcu, oraz miejsca zaciszne, przez ludzi

nieuczęszczane, niedaleko zrębów, w starym, rzadkim drzewostanie (nie w gąszczu), koło paśników, bo tam je najłatwiej odnajdzie. Bliskość wody jest wskazana. Także bardzo praktycznie jest umieszczać sól lizawkową pod drabinami zimowych paśników w przymocowanych korytkach.

Co do czasu, kiedy najodpowiedniej zakładać i odświeżać lizawki, zdania są podzielone. Jedni radzą zakładać w jesieni i na początku zimy, kiedy zgłodniały zwierz, wiedziony instynktem samozachowawczym, odszukuje wszystkie miejsca, gdzie się spodziewa znaleść jakiekolwiek pożywienie; druga część myśliwych twierdzi, że najodpowiedniejszą porą roku jest wiosna; zwierzyna przez lato się z nimi oswoi, a już w jesieni i zimie z nich korzysta. Podzielam zdanie tych drugich, jednak z tym zastrzeżeniem, że w jesieni, po opadnięciu liści, należy bezwarunkowo lizawki odświeżyć i oczyścić.

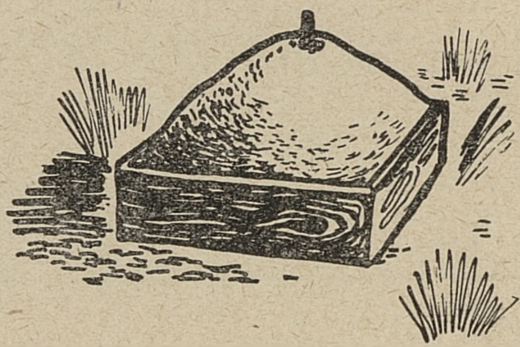
Nigdy nie powinien właściciel łowiska się tym zrażać, jeżeli zwierzyna nie korzysta zaraz z lizawek po ich urządzeniu i założeniu; często następuje to dopiero po kilku miesiącach, ale gdy zwierzyna lizawek spróbuje, będzie już potem stale do nich uczęszczać.



Lizawka w wydrążonym pniu

Należy przestrzegać, by lizawki nie były pokryte spadającymi z drzew liśćmi, gałązkami i spulchnić ziemię tak, aby można łatwo ustalić ile i jaka zwierzyna do lizawek przychodzi. Przy dobrym stanie zwierzyny i przy rozległych obszarach liczy się na każde 50—100 ha po 1 lizawce dla jeleni, a na 50 ha dla saren. Nie należy jednak nigdy zakładać po jednej lizawce, lecz każdorazowo 2 — 4 w odległości 15 — 20 m. jedna od drugiej, licząc po 1 lizawce na 3 jelenie. Gdzie zwierzostan jest liczny, zakładamy po 8 — 12 lizawek obok każdego paśnika zimowego.

Aby wykazać jak wielkie mają znaczenie odpowiednio założone lizawki w łowisku, opiszę doświadczenie z lizawkami, przeprowadzone przed wojną w 4,800 morgowym rewirze podkarpackim. Dzierżawca tego pięknie położonego, obiecującego rewiru, nie był hodowcą, nie dbał o zwierzynę, i z powodu marnego zwierzostanu rewir odstąpił. Znajomy mój, za moją namową objął rewir ten w dzierżawę. Nie było tam lizawek, paśników, ani polan hodowlanych itp. Stary dzierżawca wykonywał odstrzał bez planu, w sposób



Lizawka skrzynkowa

dziki. Tępienie drapieżników nikogo nie interesowało. Nowy właściciel z miejsca wziął się do uporządkowania i zaprowadzenia prawidlowej gospodarki łowieckiej, która prędko dała pomyślne wyniki. Lizawki urządzono w korytkach drewnianych, lecz zwierzyna nie brała soli. Wtedy zmieniono te korytka na kamienie lizakowe (o ile pamiętam stasfurskie), umieszczono je w pobliżu przesmyków, wsadzając między grube widły gałęzi na wysokości pół metra od ziemi i umocowując je w należyty sposób. Już po upływie kilkunastu dni sarny zaczęły regularnie lizać przed żerowaniem, a tropy zajęcy świadczyły, że i ta zwierzyna brała sól ociekającą po pniu drzewa. Lizawek takich ustawiono kilkanaście w różnych miejscach łowiska, do których ściągnęły w ciągu roku liczne sarny z okolicy. W lecie roku następnego zjawiły się przy lizawkach także jelenie, które opuściły rewir na rykowisko, zaś na zimę powróciły, a w trzecim roku jelenie stały się już zwierzyną stałą. Ilościowo znacznie powiększył się zwierzostan, jakość parostków i wieńców poprawiła się wybitnie, koszta lizawek były minimalne. W 6 roku drzierżawy padło tam z podchodów 9 dobrych rogaczy i 2 jelenie.

S. Wiktor.

ROWIŃSKI ANTONI.

CIENIE I BLASKI HODOWLI PSÓW

Uwagi do artykułu „Cienie i blaski hodowli psów myśliwskich" (Nr 1 — 1948 r.)

Przyznaję autorowi w wielu punktach słuszność; między innymi, że mamy dużo myśliwych a mało psów myśliwskich; objawy te częściowo przypisać należy tej okoliczności, że tendencją Polskiego Związku Łowieckiego jest tworzenie jak najwięcej kółek myśliwskich i im w pierwszej linii wydzierżawiać tereny łowieckie. Kółka myśliwskie, które najczęściej urządzają zbiorowe polowania, oddziałują ujemnie na trzymanie i chowanie psów myśliwskich. Uważa się, że na zbiorowych polowaniach nie potrzeba psa, najwyżej jednego. Inaczej zapatrują się myśliwi, którzy w pojedynkę lub w dwójkę dzierżawią tereny. Myśl autora, że nowelizacja ustawy łowieckiej winna zawierać paragraf obowiązujący dochodzenia rannej zwie-

rzyny przy pomocy psa myśliwskiego, ma wiele słuszności. O ile to nie wejdzie do ustawy, to kółka łowieckie mają możność narzucenia swym członkom, zależnie od ich zasobów, trzymania psa myśliwskiego.

A teraz chciałbym się trochę rozpisać o psach myśliwskich. Autor w swym artykule twierdzi, że trzymamy za wiele różnych ras psów myśliwskich, co jest powodem, że nie mamy możności w hodowli robić selekcji najlepszych osobników i te parzyć ze sobą, podnosząc ich kwalifikacje, że z drugiej strony jest to powodem do krzyżowania różnych ras. Nie podzielam tego zdania. Uważam, że można by małą redukcję przeprowadzić, ale nie w tej mierze co autor proponuje i pod innym kątem widzenia. Co nam dziś po harierach? Gończych psów na zające w dzisiejszych warunkach trudno używać. Psy lisie można by jeszcze tolerować, bo z czasem będzie mógł choćby tylko korpus oficerski urządzać późną jesienią polowania konne za lisem.

A już nie mogę w żadnej mierze kruszyć kopii za posokowcami czy to bawarskimi czy hannowerskimi. Są to jednostronne psy, które potrzebują dla siebie specjalnego strzelca, któryby je układał i prowadził, i mogą być czynne przeciętnie 6 tygodni w roku, a o ile chodzi o odstrzał selekcyjny — to kilka tygodni więcej. Słuchajmy co pisze jeden z najlepszych autorów niemieckich, Raesfeld, w swej monografii „Płowa zwierzyna":

„Jeżeli pies ma iść tylko i jedynie za farbą, to jestem przekonany, że pies dowodowy (Gebrauchshund) dobrze uzdolniony, winien otrzymać pierwszeństwo przed psem posokowcem".

Podobnie wyraża się autor Norderflycht w dziele o polowaniu na grubego zwierza („Hohe Jagd"): „Polowanie na jelenie bez psa zdolnego prowadzić za farbą, jest polowaniem na ścierwo (Aasjägerei). Do jakiej rasy odnośny pies należy, jest bez znaczenia, jeżeli tylko można go dobrze użyć".

Przejdźmy teraz do psów dowodowych kontynentalnych, jak je Autor za Mannem nazywa. Są to psy krótkowłose, długowłose, gryffony, pudelpointery, ostrowłose i szorstkowłose.

Psy myśliwskie krótkowłose obecnej doby pochodzą bezwątpienia od dawnych ciężkich psów o bardzo małej chyżości i słabym nosie. Dopiero w drugiej połowie zeszłego stulecia zostały w Niemczech planowo krwią angielskich pointerów przehodowane i dały jak najlepsze wyniki. Obecnie co do lekkości, wiatru i sposobu szukania, prawie że nie ustępują pointerom; poza tym jako dobre aportery nadają się do pola, lasu i na wodę. Budowa dzisiejszego krótkowłosego jest harmonijna i muskularna.

Długowłose (niemieckie) psy zanikają coraz więcej i mogłyby być wyeliminowane. Autor chciałby wyeliminować z hodowli gryffony i ostrowłose. Zupełnie niesłusznie. Ostrowłos, jak się Diesel w swej książce o łowiectwie wyraża, jest to dawna krzyżówka psa krótkowłosego z psem długo i grubowłosym, który nosił nazwę polskiego psa wodnego, dalej krzyżówka z pudlowatym i francuskim gryffonem. Jest to pies w pierwszej linii stworzony dla zawodowego leśnika, silnie zbudowany, odważny, cięty na drapieżnika i staje w obronie swego pana. Tych psów i to dobrych znajduje się sporo w zachodnich połaciach Państwa, a zwłaszcza na Ziemiach Odzyskanych.

Przejdźmy teraz do najmłodszej rasy, psów szorstkowłosych, które odbiegają lub odbiegać powinny budową, kształtem, a zwłaszcza uwłosieniem od ostrowłosych. Hegendorf, którego książka o układaniu psa myśliwskiego pod tytułem „Pies dowodowy" (Gebrauchshund) jest bodaj najlepszą z niemieckich, pisał mniej więcej przed 25 laty: „Pies szorstkowłosy niemiecki w ostatnich latach dał powód do sporów i wymiany zdań, ponieważ walczono ostro przeciw zasadzie mięszania ras, ażeby wyhodować typ idealny. Każdy hodowca, którego zasadą jest hodować psa w czystości krwi, będzie musiał to przedsięwzięcie również potępić. Na tym miejscu niech mi będzie wolno zaznaczyć, że szorstkowłose psy myśliwskie pochodzą z krzyżowania najlepszych psów z konkursów psów dowodowych (Gebrauchshundsuche), które przy pracy konkursowej dały wspaniałe wyniki". Tyle Hegendorf. Od siebie muszę dodać, że dziś po prawie 30 latach, rasa ta nie daje dostatecznych cech dziedziczności. Jako przykład mój pies — suka, którą kupiłem w 1946 r. jako szczenię po rodzicach, z których ojciec przez 5 generacji nosi krew czterech różnych Geyersteinów, uchodzących za czołowych szorstkowłosych psów. Matka cała bronzowa, ojciec z wielkimi łatami bronzowymi i silnie nakrapiany. Z siedmiu szczeniąt było całkiem bronzowych 5, jeden grubo nakrapiany z wielkimi łatami, a jeden cały równomiernie nakrapiany z bronzową głową. Po wyrośnięciu okazało się, że ten ostatni całkiem nakrapiany ma głowę w typie psa krótkowłosego bez brody i bez wąsów, które cechować winny psa szorstkowłosego. Natomiast włos na tułowiu zupełnie gruby i twardy, jaki cechuje szorstkowłosego. Nastąpiło tu mendlowanie *); figura i maść mego psa przypomina mi psa, który pod koniec pierwszej wojny światowej, jako krótkowłosy dzierżył szampionat na całe Niemcy. O ile sobie przypomnieć mogę wabił się Tell vom Weissenfels. Po tylu generacjach przebiła krew dawnego przodka. Typ szorstkowłosego jest wspaniały. Harmonijność w budowie rzuca się w oczy; jest o silnej kości, muskularny i wytrzymały; poza tym cięty na drapieżnika, no i na ludzi.

Pomiędzy norowcami uważam, narówni z Autorem, szorstkowłose jamniki za najlepsze; są twarde i nadzwyczaj ostre. Ale nie zapomniałbym i o gładkowłosych, a szczególnie o długowłosych. Diesel wyraża się o długowłosym jamniku, że jego czuły nos nadaje się szczególnie do pracy za farbą, a szorstkowłosy — do polowania po ziemi i specjalnie, ze względu na jego siłę, na dziki. Nie mam również zastrzeżeń co do ostrowłosych foxterrierów, jako bardzo kształtnych, żywych i ciętych, jak również co do płochowców różnego rodzaju. Autor zapomniał zupełnie o airdalterrierach, które są bardzo inteligentne, silnie zbudowane o wzroście dochodzącym do wzrostu średniego wyżła. Aportują znakomicie w polu i z wody. Warto się nimi zająć, przystosować do polowania na dziki, bo są wytrzymałe i zaciekłe.

Przejdźmy obecnie do psów myśliwskich angielskich. O pointerach, jako o doskonałych w kształcie, w szukaniu i o znakomitym górnym nosie nie zabieram głosu. Odnoszę wrażenie, że przy doskonałości obecnej innych ras, przypisuje się pointerowi za wiele wagi. Natomiast nigdy między setterami nie dałbym pierwszeństwa angielskim setterom. R. W. Rayon, autor książki „The Setters", tak się wyraża o setterze angielskim: „Jest to pies swą budową predestynowany

---

*) przejaw prawa G. Mendla o mieszańcach. Red.

do pracy w polu, na łąkach, po zbożach, ścierniskach okopowych, na równinach, lecz nie na górzystych terenach lub błotnistych". Krytykuje ostro jego niedociągnięcia w budowie, zbyt spadziste tylne nogi o prostych stawach w kolanie, długiej słabiźnie, ciężkim zadzie i kończy, że najpiękniejsza głowa w świecie, którą się cieszy setter angielski, nie zastąpi złych łopatek, ciężkiego zadu, długiego tułowia, co świadczy o jego miękkiej konstytucji. O wiele korzystniej wyraża się o irlandzkim setterze i o gordonach. „Irlandczyk jest lepiej zbudowany, ale jest zbyt wrażliwy i o ogromnym temperamencie, co utrudnia jego układanie, ale nadaje się do pola, na górzyste tereny, jak i na wodę". Tak samo pochlebnie wyraża się o gordonach. Zatym wszystkie trzy winny znaleść miejsce w księgach rodowodowych.

Co do ksiąg rodowodowych, to winny one być prowadzone centralnie przy Głównej Komisji Kynologicznej w Warszawie, lecz trzeba stawić pytanie, czy nie stanie się to zbyt ciężkim aparatem. W każdym razie cała rejestracja w terenie winna przechodzić przez Kierownika Wojewódzkiej Sekcji Kynologicznej. U niego winny być wszystkie psy z danego województwa zarejestrowane i za jego pośrednictwem z równoczesnym zaopiniowaniem kierowane do Centrali w Warszawie.

S. Rowiński.

A. ZAKRZEWSKI.

WYPRAWA PO PSY MYŚLIWSKIE DO GORAJU

Wojewódzka Rada Łowiecka w Łodzi, zamierzając utworzyć na terenie Rady hodowlę wyżłów, delegowała prof. R. Kurowskiego i inż. A. Zakrzewskiego do Leśnego Ośrodka Szkoleniowego w Goraju-Zamku w Województwie Poznańskim, w celu obejrzenia tamtejszej hodowli i tresury psów myśliwskich oraz ewent. zakupu dwóch szczeniaków dla Rady Łowieckiej. Wymieniony Ośrodek znany jest jako jedyny w Polsce, prowadzący hodowlę i tresurę psów myśliwskich.

Ośrodek w Goraju położony wśród przepięknej okolicy, niemal górzystej, o drzewostanach nader urozmaiconych, jest znakomitym terenem szkolenia pracowników leśnych. Odbywają się tu stale kursy dla leśniczych, sekretarzy nadleśnictw i pracowników urządzeniowych.

Hodowla i tresura psów, ma, poza nauczaniem ściśle zawodowym, obudzić w kursantach zamiłowanie do tego pięknego działu leśnika-myśliwego, a jednocześnie przysporzyć krajowi dobrze ułożonych wysokiej klasy psów, bez konieczności uciekania się do importu.

Po 12 godzinach podróży koleją do stacji Bzowo-Goraj i później ze stacji powozem, przysłanym po nas przez nad wyraz uprzejmego i gościnnego dyrektora Ośrodka Szkoleniowego, p. inż. Paszyńskiego, przybyliśmy do Goraju-Zamku, odległego od 2½ do 3 km. od stacji i położonego w wspaniałym lesie. W ogromnym zamku, który uprzednio należał do hr. Hochberga, członka rodziny książąt Pszczyńskich, mieści się obecnie wspomniany wyżej Ośrodek. W lesie, niedaleko Ośrodka, znajduje się grób ostatniego właściciela, a z drugiej strony, o 30 m. od zamku, pochowana jest jego ulubiona klacz.

Nazajutrz oglądaliśmy psiarnię. Psiarnia przylega do dużego budynku gospodarczego i posiada dla każdego dorosłego psa osobne pomieszczenie oraz budę rozbieralną, tapczan drewniany przed budą i ogrodzony wysoką siatką drucianą wybieg. Młodzież umieszczona jest po kilku w jednej budzie. Olbrzymia hala, dawniejsza ujeżdżalnia, daje możność ćwiczenia psów o każdej porze roku. Psiarnia nie ma wyżłów ras angielskich, lecz wyłącznie rasy wyżłów kontynentalnych, jak gryffony, wyżły ostrowłose i szorstkowłose (Deutsch-Drahthaar). Krótkowłosych wyżłów niemieckich własnych Ośrodek nie posiada, są tam jedynie tego rodzaju psy oddane do tresury przez prywatnych właścicieli.

Kierownikiem hodowli i treserem psów jest p. Siudzik, fachowiec o 30-letniej praktyce, znany z tego, że chciał w swoim czasie wyprodukować polską rasę



Treserzy z psami

psów dowodnych, zbliżonych do gryffonów. Najbardziej podobały nam się tam psy ostrowłose i, wobec braku starszych sprzedażnych psów tej rasy, wybraliśmy 2 czteromiesięczne brązowe suczki, mianowicie Bombę Nr. 81 i Bellę Nr. 82, czystej krwi, po Troku z nad Warty i Heli Ostland. Obie suczki pozostawiono na miejscu do tresury. Psów widzieliśmy ogółem pięćdziesiąt kilka.

Uważamy, że jest to nieomal największa psiarnia w Polsce. Pan dyrektor Paszyński nie szczędził zabiegów i trudu, aby stworzyć tę zagrodę i postawić ją na wysokim poziomie, za co należy mu się wdzięczność ze strony wszystkich myśliwych, hołdujących polowaniu z wiernym towarzyszem łowów — wyżłem dowodnym. Psy były w dobrej kondycji, rzutkie i ochocze do pracy.

Po oględzinach psiarni, byliśmy widzami pracy treserskiej. Piękny był to widok, gdy za każdym z 12 treserów, idących krętą ścieżką leśną, szedł pies za nogą, lub wówczas, gdy treserzy ustawili się w rząd, a przy

każdym z nich pies przy nodze. Psy wykonywały sprawnie rozkazy, jak „siadaj", „waruj" i inne, na strzały nie reagowały.



Na tropie

Ponieważ dopiero obecnie udało się Dyrekcji Ośrodka wydzierżawić tereny polne i nauka na nich rozpoczęła się na kilka dni przed naszym przybyciem, wydanie sądu o pracy polowej tresowanych psów byłoby przedwczesne.

Jedynie to można było z pewnością stwierdzić, że wszystkie psy, wyprowadzone w pole, szły ochoczo do wody i bobrowały w szuwarach. Widzieliśmy też naukę ciętości; niektóre z tych psów odznaczały się wybitną ciętością.

Opuszczając gościnne progi Goraju-Zamku, wynieśliśmy przekonanie, że Leśny Ośrodek Szkoleniowy przysłuży się wielce polskiej kynologii.

inż. A. Zakrzewski.

Przewodniczący Sekcji Kynologicznej

Łódzkiej Rady Wojewódzkiej.

Z LITERATURY ŁOWIECKIEJ

OCHRONA ZWIERZYNY I DZIKIEGO PTACTWA W STANACH ZJEDNOCZONYCH AMERYKI PÓŁNOCNEJ.

(Artykuł uprzejmie nam nadesłany przez Ambasadę Stanów Zjednoczonych A. P.).

Trzeci rok z rzędu dzikie ptactwo wodne w Północnej Ameryce zmniejsza się ilościowo w sposób zastraszający. Z liczby 125.000.000 sztuk, notowanej w roku 1944, kontynentalne stada dzikich gęsi i kaczek spadły w roku 1947 prawie o 60%, t. zn. do cyfry 54.000.000. Według zdania urzędu „Obsługi Zwierzyny" główną przyczyną zmniejszania się ilości ptactwa jest zbliżanie się jeszcze jednego „cyklu posuchy". Obszary lęgowe na północy wyschły z braku deszczów i ptaki giną bez wody.

Oprócz suszy, zawinił jeden jeszcze potężny czynnik, a mianowicie — zwiększyła się pokaźnie liczba myśliwych, posiadających lepsze strzelby i lepszą amunicję.

Stan wędrownego ptactwa stanowi przedmiot głównej troski biologów i przyrodników w urzędzie „Obsługi ryb i wodnego ptactwa". Obowiązkiem szefa „Obsługi" jest kontrolowanie rocznego stanu ilościowego kaczek i gęsi na kontynencie Północnej Ameryki. Program ochrony ptactwa wodnego w Stanach Zjednoczonych opiera się właśnie na wynikach tej statystyki.

Roczne obliczenie przedstawia najważniejszy wynik corocznej pracy ochronnej. Plan tego obliczenia jest starannie opracowany. W ubiegłej kampanii brało udział około 3000 obserwatorów. Ludzie ci, mający dużo doświadczenia w tych sprawach, a także ochotnicy zatrudniani przez Rząd od wielu lat — rozmieszczani są na wszystkich szlakach przelotów dzikiego ptactwa.

Z przyczyn praktycznych i administracyjnych Stany Zjednoczone, jako całość, podzielono w tym celu na pięć rejonów. Kierownicy tych rejonów nadzorują prace w terenie, zaś samą pracę wykonują dozorcy polowi.

Każdy dozorca sporządza własne obliczenia stanu ilościowego ryb i ptaków, a poza tym korzysta z pomocy państwowych strażników łowieckich, policji, oficerów obsługi Parku Narodowego, służby leśnej i polnej, studentów i uczniów Kursów Ochrony, biologów, zapalonych amatorów ptaków i myślistwa itp. Poza tym w styczniu samoloty Marynarki wylatują z Lakehurst nad wybrzeżem New Jersey, aby obserwować i oceniać zloty ptaków wodnych. Do tych samych celów używane są ścigacze Wojennych Sił Lotniczych, przelatujące nad Doliną Sacramento w Kalifornii, oraz Straż Wybrzeża w rozmaitych jego punktach.

Wszyscy ci obserwatorzy otrzymują standartowe instrukcje i blankiety do raportów. Po wypełnieniu są one zwracane dozorcom polowym i łowieckim, którzy z kolei sporządzają raport okręgowy. Raport taki wędruje dalej do rejonowej Kwatery Głównej, w celu przejrzenia przez kierownika i Zarząd Rejonowy. Spisy rejonowe odsyłane są następnie do Washington D. C., gdzie po porównaniu ich z raportami otrzymanymi z Kanady i Meksyku, tworzy się ogólny raport o stanie ilościowym ptaków.

Obliczenie ptaków lub zlotów, nie jest tak trudne, jak by się to mogło zdawać osobom nieobeznanym z taką pracą. Inwentarz spisuje się bowiem w styczniu czyli wtedy, gdy ptaki obrały już sobie zimowe leże, a sezon polowania już minął. Jest to więc miesiąc najmniejszego ruchu ptactwa wodnego na Kontynencie i zarazem końcowy miesiąc wędrówki na Południe.

W przeciągu ubiegłych 18-tu lat Ameryka opracowała program działalności w sprawie ochrony ptactwa wodnego. Punktami tego programu są:

1) Przywrócenie lęgowych obszarów w Stanach Zjednoczonych.

2) Stworzenie regularnych baz pokarmowych wzdłuż dróg przelotowych i na zimowych leżach, baz odpowiednich do olbrzymich ilości ptaków, przelatujących nad krajem.

3) Uregulowanie przepisami prawnymi pozwoleń na polowanie na ptactwo wodne, z uwzględnieniem zasady, aby sport nie był tutaj jedynym celem.

4) Ustalenie racjonalnych metod polowania.

Trzonem tego programu jest rządowe prawo o rezerwatach zwierzęcych. Rezerwatów takich istnieje obecnie w Stanach Zjednoczonych 271, poza tym około 20 na Hawajach, Alasce i Puerto Rico. Ogółem obejmują one 17.819.495 akrów ochronnych, naturalnych rezerwatów dla dzikiego ptactwa i zwierząt. 201 z tych rezerwatów przeznaczone jest przede wszystkim dla wodnego ptactwa.

Prawodawstwo, które się skoncentrowało w dzisiejszym programie ochrony ptaków, weszło w życie w drodze ogłoszenia w r. 1913 „Prawa o Ptakach Wędrownych". W roku 1916 Rząd zawarł z Kanadą układ o analogicznej ochronie Ptaków Wędrownych, poza tym oznaczono ściśle: czas polowania i okres jego trwania, przy czym wzbroniono zupełnie polowań w sezonie wiosennym.

Mimo tych już poczynionych kroków, dalsza opieka okazała się nieodzowna, zwłaszcza dla ptactwa wodnego. W roku 1929 została wydana „Ustawa o ochronie Ptaków Wędrownych". Ustawa ta przewidziała tworzenie terenów ochronnych dla ptactwa wodnego i wyznaczyła roczne fundusze na ich utrzymanie.

Ustawa Ochronna przyszła w samą porę. Ilość ptactwa spadła bowiem w początku roku 1930 do 27.000.000, a liczne gatunki zostały prawie doszczętnie wytępione. Największe spustoszenie poczyniła posucha. Wszystkie dzienniki amerykańskie pisały w swych naczelnych artykułach o katastrofie suszy. Wielkie przestrzenie lęgowe kanadyjskich stepowych prowincji były wyschnięte, a sadzawki, małe stawy, moczary i bagna w północnych okręgach Stanów Zjednoczonych zamieniły się w spękaną ziemię. Ochronny kożuch zieleni zwiądł i usechł. Rośliny wodne, zwykły pokarm licznych rzesz ptasich, znikły zupełnie wzdłuż szlaków przelotów.

Wówczas opiekunom tych rzesz przyszło z pomocą trzecie zarządzenie Kongresu. Było to przyjęcie przez Kongres ustawy o znaczku od polowania na wędrowne ptactwo w 1934 roku i poprawka do tegoż w roku 1935. Prawo to opiewa, że każdy myśliwy, który ukończył 16 lat, polujący na ptactwo wodne, musi wykupić federalny „kaczy znaczek" za jednego dolara.

Czynności ochronne, finansowane przez fundusze „znaczkowe" i inne, są tak różnorodne, jak rozmaitymi są gatunki ptactwa. Czynności te rozciągają się od studiowania i kontroli roślin pokarmowych do samolotowej inspekcji gromadzących się kaczek. Zawierają również wydział chorób ptasich, inżynierię hydrauliczną, kontrolę lęgów, łowienie ptaków w celach badawczych i inne.

Istnieją trzy typy rezerwatów pomocniczych dla wodnego ptactwa. Są więc przede wszystkim zaciszne kryjówki dla gniazd, tworzone w celu zachęcenia ptaków do wylęgania przez danie im najlepszych ku temu warunków. Są następnie schroniska, rozmieszczone na szlakach przelotów, które zapraszają do spoczynku. Obserwacje i badania z tej dziedziny wykazują, że przeważna ilość gatunków wędrownych potrzebuje wypoczynku mniej więcej co 200 mil. Wreszcie istnieją schrony zimowe, które mają największe znaczenie dlatego, że ptaki spędzają w nich najdłuższy okres w roku, bo prawie sześć miesięcy.

Wszystkie te trzy typy schronisk mają swoje indywidualne zagadnienia i problemy do rozstrzygnięcia. Zarządzający schroniskiem na wschodnim wybrzeżu martwi się np. z powodu zarazy rdzy, która niszczy rajgras, jedną z najważniejszych roślin pokarmowych. Inny znów w Utah walczy z wybuchem „botulizmu". Jest to rodzaj zarazy roślin pokarmowych, od której kaczki giną tysiącami. Inny znowu kierownik, wzdłuż rzeki Illinois, stara się rozpaczliwie zniszczyć „lotus", zielsko wodne, które zagłusza rośliny pokarmowe. Nadkontroler w Kalifornii wysłuchuje skargi delegacji farmerów, domagających się od Rządu odszkodowania za zniszczenie przez ochraniane stada ptactwa zbiorów ryżu. Aby zapobiec temu zniszczeniu, Rząd zakupuje tereny, na których można hodować rośliny tańsze i bardziej ponętne dla ptactwa, niż drogi ryż. Roślinami takimi są przede wszystkim proso i zboże „kaffir".

Praca w schroniskach dla zwierzyny wymaga wysoce wykwalifikowanych pracowników. Ludzie ci mówią o sobie, że są „biologami zwyczajnego błota". Muszą oni ponadto posiadać różnorodne uzdolnienia, jako mechanicy, farmerzy, uczeni, doktorzy, kopacze rowów i przyrodnicy.

Biorąc ogólnie — praca ochrony ptactwa wodnego dzieli się na kilka ugrupowań. Jedno dostarcza wiadomości o stanie pogody, o stanie wody i wybuchu pożarów. Inne dostarcza sprawozdań o życiu zwierzyny, sporządzanych na formularzach urzędowych. Sprawozdania te zawierają: nazwy gatunków ptactwa,ich ilość, datę ukazania się ptaków oraz daty odlotów ptasich, gdy widziano je po raz ostatni, oraz stan budowy gniazd w schroniskach.

Inna strona pracy dotyczy rozwoju, utrzymania i stanu budynków, grobli i tam. Praca przy ochronie zwierzyny wymaga wiele wysiłku w dziedzinie badania i stosowania zasiewów na obszarach polnych. Badania te przyoblekają się w różne formy. Powstały całe tomy o pracy poświęconej „botulizmowi", niegdyś tajemniczej chorobie, która powodowała śmierć milionów ptaków wodnych na rozlewach wód Zachodniej Ameryki. Badania wykryły, że świeża woda i niezatrute pożywienie mogą wiele ptaków przywrócić do zdrowia. Dla zbadania przyczyn zarazy założono nawet „lecznice kaczek". I wreszcie wynaleziono antytoksynę. Wtedy badania zwróciły się w kierunku zasiewów roślin pożywnych, bowiem kaczki i gęsi mają upodobania do niektórych roślin, innych zaś nie lubią.

Doświadczenia poczynione w schroniskach wykazały, że kontrola poziomu wody w stawach, jeziorach i sztucznych nawodnieniach, może zmienić stan roślin na moczarach.

Wszystkie schroniska państwowe oznaczone są wizerunkiem dzikiej gęsi w locie. Miejscem pokazowym, gdzie zwiedzający mogą najlepiej pojąć ogrom dokonywanej pracy, jest miejscowość nad Rzeką Niedźwiedzią koło Braigham w stanie Utah. Obejmuje ono płycizny wodne z Wielkiego Słonego Jeziora, których przestrzeń wynosi 65.000 akrów. W północnym Michiganie znak lecącej gęsi zdobi schronisko Seney, chlubiące się zielonymi łąkami, a kanadyjskie gęsi skupiają się pod drżącymi osinami, tam gdzie zmarszczki na wodzie znaczą również ślad wydry i piżmowca.

Przeszło 1.000.000 gości zwiedziło w ubiegłym roku 40 schronisk, które dają ponadto możność dostępnych i miłych rozrywek dla ludzi, interesujących się przyrodą.

System ochrony wodnej w Stanach Zjednoczonych składa się z setek mil tam i grobli, parkanów, dróg i ścieżek, urządzeń elektrycznych i drutów telefonicznych oraz niekończących się rowów. Obejmuje on 893 budynki kontroli wód, 194 mosty — no i dziesiątki tysięcy akrów ziemi i wody. Pomimo to jednak, — kaczek i gęsi ponownie zaczęło ubywać.

Obecnie pokładamy nadzieję w schroniskach, bez istnienia których nasze wnuki nigdy by może nie poznały widoku srebrzystego klucza dzikich gęsi, rysującego się na tle księżyca lub cudu nieba, na którym roją się niezliczone stada kaczek.

Carl L. Biemiller

(„Holiday", listopad 1947.

Do artykułu „Łowiectwo a młodzież"

Rozważania kol. Oświecimskiego na temat istnienia w młodzieży szlachetnych instynktów łowieckich są tak trafne i przejrzyście ujęte że nie podlegają dyskusji.. Pragnę, przeto, nakreślić plan przysposobienia młodzieży z mego punktu widzenia.

Rozpocząć szkolenie młodzieży w idei i w praktyce łowieckiej należy znacznie wcześniej niż w Akademiach.

Pierwsze pojęcie zazwyczaj czerpie młodzież, jak w każdym przejawie życia, w domu rodzicielskim, niekoniecznie myśliwskim. Wśród gawęd domowych, tematem których bardzo często są przeżycia łowieckie tak członków rodziny, jak też i gości odwiedzających dom, młodzież kształtuje swe łowieckie marzenia przyszłości.

Gawędy te poruszają zagadnienia etyki łowieckiej, ideę ochrony zwierzyny i przyrody, oraz wprowadzają urok tajemniczości kniei, tak łakomy dla ucha młodocianych słuchaczy. Tutaj zaczyna tlić się iskierka łowiecka. Z biegiem lat nasz młodociany słuchacz znajduje okazję, by wziąść czynny udział, choćby bez broni, w łowach tak jednostkowych, jak i zbiorowych, słuchając uwag i nauk doświadczonych myśliwych.

Jest to już całkowicie przygotowany grunt do racjonalnego szkolenia przyszłych pionierów łowieckich.

To „racjonalne szkolenie" winno rozpocząć się w szkole średniej, w klasach licealnych, z dopuszczeniem starszych jednostek ostatnich klas gimnazjalnych, a polegać powinno na cyklu wykładów z zakresu idei łowiectwa i jego celowości, ochrony przyrody i zwierzyny łownej, posłannictwa P. Z. Ł., znajomości systemów polowania, etyki łowieckiej oraz znajomości broni myśliwskiej.

Wykłady te możnaby włączać do wykładów o ochronie przyrody, zleconych przez Min. W. R. i O. P., a prowadzić je powinien ktoś z doświadczonych myśliwych za aprobatą kuratorium i zgodą Dyrektora uczelni.

Po ukończonym cyklu wykładów, słuchacze poddani zostaną egzaminowi i ci, którzy wykażą dokładną znajomość przedmiotów i zrozumienie idei łowieckiej, zakwalifikowani zostaną do ćwiczeń praktycznych. Należy zainteresować istniejące na danym terenie T-wo Łowieckie, które napewno przyjdzie z pomocą i zorganizuje pokazy praktyczne na swoich terenach, tak polnych jak i w kniei, pod doświadczonym kierownictwem łowczego T-wa.

W następstwie można zaprosić wybranych adeptów na jakieś polowanie. Przed projektowanym pokazem polowania trzebaby pomyśleć o ćwiczeniach strzelania z broni śrutowej. Sądzę, że znajdą się myśliwi, którzy w pełnym zrozumieniu przeprowadzonej akcji, zgodzą się na użycie w tym celu ich broni (w ich obecności), dodając np. 4 ładunki dla tych adeptów, którzy nie będą w stanie ich kupić.

Tak przeszkolona młodzież zdolna będzie do podjęcia czynnej pracy ideowo-łowieckiej na wyższym zakładzie naukowym, gdzie kierownictwo powinni objąć wykwalifikowani członkowie P. Z. Ł. Kierunek prac ideowo-łowieckich na akademiach, podany przez p. Oświecimskiego, popieram w całej rozciągłości, ale zaznaczam, że dostęp do nich powinien być otwarty młodzieży obojga płci.

Tuszę niepłonną nadzieję, że do naszych projektów przybędzie szereg innych, a już sprawą Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł. będzie wypośrodkować system i podać go do wykonania Radom Łowieckim Wojewódzkim i Powiatowym.

(—) Dr. Stefan Żarnowski

Łowczy P. Z. Ł. na pow. Chełm.

Drugi głos młodego

Z przyjemnością przeczytałem ciekawy artykuł dyskusyjny p. Jerzego Oświecimskiego w pierwszym numerze „Łowca" r. b. o konieczności propagowania idei łowieckich wśród młodzieży.

Jako przedstawiciel tej młodzieży, która kocha łowiectwo i pragnie jego rozwoju, chcę dorzucić kilka uwag w tak aktualnej w tej chwili sprawie.

Wychodząc z założenia, że idee miłości przyrody, a tym samym prawidłowego łowiectwa, winny być propagowane już wśród dzieci, myślę, że należy zacząć od najniższych klas szkoły podstawowej. Im później to nastąpi, tym gorzej. Dziecko ma charakter bardzo podatny do wypaczenia, co może się stać tak pod wpływem nieodpowiedniego towarzystwa, jak też z powodu braku oświaty. Jeśli zaś mamy na myśli sprawę łowiectwa, to wypaczenie charakteru dziecka może w tym wypadku doprowadzić nawet do kłusownictwa, co się, niestety, szczególnie na wsi, często zdarza.

Można zapobiec temu tylko przez umiejętne wychowanie w duchu miłości do zwierząt. Dlatego też racjonalnemu łowiectwu powinny być poświęcone niektóre lekcje przyrody (szczególnie w szkołach wiejskich), a nadto wskazanym by było dać dzieciom trochę czasu na zbiorowe wycieczki do lasu, zwierzyńców, muzeów itp., wreszcie urządzać nadprogramowe pogadanki, poświęcone lasowi i jego mieszkańcom. Sądzę, że prócz dziecinnej lektury dużą rolę mógłby tutaj odegrać dobry film myśliwski czy oświatowo-przyrodniczy.

Jeśli zaś chodzi o młodzież gimnazjalną i licealną (trzeba tu wziąć pod uwagę szkoły rolnicze), jest tu szersze pole do działania.

Nie tylko wśród młodzieży akademickiej znajdują się tacy, którzy, trochę polując, „łyknęli" łowiectwa. Oczywiście tylko trochę, bo i na tym odcinku wojna wyrządziła niemałą krzywdę młodzieży, nie pozwalając jej rozwijać niejednokrotnie dużego talentu myśliwskiego.

Dlatego teraz, w nowych, już powojennych warunkach, winno się udostępnić młodzieży korzystanie z tej, tak długo zabronionej przyjemności racjonalnego polowania, poprzez stworzenie organizacji, o jakiej mówi autor artykułu „Łowiectwo a młodzież". Konieczną jest tu inicjatywa Polskiego Związku Łowieckiego.

Przy tworzeniu takiej organizacji trzeba pamiętać, że i młodzież niepełnoletnia także chciałaby polować, co jest możliwe tylko po wydaniu pozwoleń na używanie broni myśliwskiej przypuśćmy od 16 czy 17 lat.

Bez wątpienia większość amatorów polowania traktuje łowiectwo jako „miłą rozrywkę”— jak to słusznie zauważył p. Oświecimski, i tu właśnie leży wielka trudność, by wpoić takim jednostkom, że „chronione łowiska — to bogate łowiska, a bogactwo łowisk — to — bogactwo kraju”.

Myślę jednak, że na tym odcinku właściwa propaganda zrobiłaby swoje. A możeby „Łowiec”, cieszący się poczytnością wśród młodzieży, zainteresowanej łowiectwem, otworzył choć mały kącik dla nich?...

Co do pozostałej młodzieży, obojętnej na sprawy łowieckie, to mogłaby tu odegrać rolę propaganda w formie popularnych odczytów, pokazów, budzącej zainteresowanie w laiku literatury łowieckiej (której niestety jest za mało), filmu itp.

Miejmy nadzieję, iż to może zdoła rozniecić ukrytą iskrę myśliwską w pozostałej większości młodzieży.

Janusz Odrowąż-Pieniążek
uczeń liceum w Opatowcu.

ANTONI BRUDNICKI.

Dodatek do „Łowca Polskiego”.

Podstawowe wiadomości o karmieniu i tresurze psów myśliwskich w domu i w polu

CZĘŚĆ II.

TRESURA DOMOWA PSÓW.

Stosując odpowiedni system wychowawczy względem młodego psa, przygotowujemy go do przyszłej tresury. Dlatego nie można pobłażliwie pozwalać na jego wszystkie zachcianki i upodobania, aby nie przysparzać sobie, względnie treserowi, pracy nad wykorzenieniem narowów, a elewowi oszczędzić strofowań.

Nie należy jednak zbyt ostro odnosić się do wychowanka. Ogólnie biorąc, prawie w każdej rasie posiadamy niezły materiał hodowlany, nadający się do tresury domowej i ułożenia w terenie.

Wybieramy naturalnie psy z pochodzeniem wiadomym, (rejestrowane w księgach rodowych), aby mieć rękojmię, iż potomstwo ich, poza dobrą budową — exterieurem, dziedziczyć będzie cechy spotęgowane: węch (wiatr), temperament, odwagę, inteligencję oraz wrodzone zalety danej rasy. Właściwym postępowaniem i tresurą należy dodatnie strony utrwalić, natomiast złagodzić i nie wzbudzać złych, jak: upór, krnąbrność, bojaźliwość itp.

Nawet w zastosowaniu do owczarków i wyżłów kontynentalnych, obecnie zanglezowanych, tresura ostra, nacechowana niemieckim „drillem”, nie daje dobrych wyników. Taktownym i łagodnym, lecz konsekwentnym odnoszeniem się do elewa najwięcej można osiągnąć. Najwłaściwiej obrać metodę pośrednią, niezbyt surowo, ale i nie pobłażliwie, ujmując te sprawy. Starając się postępować w ten sposób przy podawaniu pożywienia, na spacerach itp., wpajamy posłuszeństwo, uczymy kojarzyć myśli, przewidywać celowość i następstwa w drobnych czynnościach. Przez obcowanie z ludźmi piesek rozwija się, przyswajając sobie indywidualnie podawane mu nauki, lecz trzeba również, by rasowy pies przeszedł tresurę celową, metodycznie ujętą, przystosowaną do danej rasy. Jeśli układanie mają przeprowadzić właściciele psów — muszą sami zapoznać się z wskazówkami zasadniczymi, dotyczącymi tresury.

Tresurę domową musi poznać jednakowo pies myśliwski, obronny czy służbowy, oczywiście z pewnymi odchyleniami. Tresura domowa jest przysposobieniem do nauki w otwartym terenie. Wstępna nauka tresury domowej, systematycznie prowadzona, powinna zająć od 2 — 3 miesięcy.

Układający psa musi wykazać dużo taktu, spokoju i cierpliwości, starać się być w dobrej komitywie z uczniem, ażeby tresura dała dobre wyniki. Ćwiczenia w domu rozpoczynamy po uprzednim wyprowadzeniu psa na dwór, dla zaspokojenia jego potrzeb fizjologicznych.

Sprzęt tresury przed lekcją znajdować się winien w takim miejscu, ażeby uczeń go widział i powinien być zabierany na teren dla ćwiczeń z psem.

Do sprzętu tresurowego zaliczamy:

1. Smycz rzemienną o długości 2 — 3 metrów.
2. otok — rodzaj linki, długości około 15 metrów, nasiąknięty pokostem lub olejem lnianym, zabezpieczającym go przed prędkim zniszczeniem; jeden koniec linki związany jest cienkim, gładkim sznurkiem, a na drugim przymocowany haczyk sprężynowy.
3. gwizdek metalowy lub rogowy (bez turkawki).
4. skórzany bat długości 75 cm. z haczykiem sprężynowym do zawieszenia i paskim rzemiennym do założenia na rękę, zakończony pętlą z tejże skóry.
5. obroża tresurowa, ściągana, dławiąca, względnie kolczasta z okuciem metalowym do przekręcenia.
6. szpula ze słomy i szpagatu, lekka i druga drewniana, jako podawki w kształcie ciążków (hantli).

1. Ćwiczenia wstępne przy karmieniu.

Uczymy psa, by w pozycji poleconej, stojąc lub siedząc, czekał na dany znak, a bez pozwolenia jedzenia nie ruszał. Ćwiczenie to zacząć można od 3-go miesiąca życia szczenięcia w sposób następujący. Przywołujemy wychowanka do miejsca, gdzie znajduje się miseczka ze smakowitym pożywieniem. Malec niebawem zabierze się do jedzenia. Wtedy należy wziąć go za obróżkę, a miseczkę odsunąć dość daleko, mówiąc „nie wolno, siadaj piesku, tak, dobrze”. Bierzemy go nieznacznie na smycz, o ile niecierpliwiłby się — strofujemy, ściągając smyczą przez szarpnięcie i słowami przestrogi. Wkrótce piesek zrozumie, że zajmujemy się nim stale i o jednej porze przed jedzeniem.

Lekcja ta trwać może od 5 — 15 minut. Wstępne to ćwiczenie należy powtarzać dotąd, aby nawet w razie oddalania się od pana do sąsiedniego pokoju, pies pozostał w tej samej pozycji. Wróciwszy, trzeba go pochwalić,jeśli dobrze się zachował i po pewnym czasie słowem „weź”, zezwolić na spożycie jedzenia.

Podczas następnych lekcji, uczymy psa zatrzymywać się w pewnej odległości przed miseczką i jedzeniem. Należy ją postawić w najbardziej oddalonym

miejscu np. w rogu pokoju. Przyprowadzamy wychowanka, rozkazując na zmianę: „idź, naprzód piesku, stój, idź dalej, stój, dobrze, nie rusz, nie wolno" i zatrzymamy go w dowolnej pozycji przed miską przez 5 minut, poczem słowem „weź" pozwalamy, by zjadł swą porcję. Po takich wprawkach polecamy psu iść na miejsce na 15 — 30 minut.

2. Siadanie na rozkaz.

Ćwiczenie to jest dość łatwe, lecz należy je dokładnie przerobić. Pieska przywołujemy, nakładamy mu obróżkę pętlicową i wziąwszy na smycz dłuższą (mogą być dwie złączone) spacerujemy z nim po izbie. W pewnej chwili mówiąc: „siadaj" pociągamy smycz i skłaniamy go ręką, by usiadł. Przerabiamy to kilkakrotnie, chwaląc go za dobre wykonanie polecenia. Następnie okrążamy go, powtarzając „siedź piesku" i zataczamy coraz większe kręgi.

Po kilku lekcjach stosujemy to samo bez smyczy w pokoju, a później na dworze. Na zakończenie tego działu tresurowego oddalamy się od elewa na 5 — 10 minut lub (na dworze) znikamy z jego oczu, wchodząc za krzaki i budynki, by nauczył się pozostawać sam w pozycji siedzącej. Młodego pieska, wrażliwego na raptowne odgłosy, trzeba stopniowo do nich przyzwyczajać. Wychodząc z nim na spacer, staramy się przebywać w najbardziej ruchliwych miejscach, np.: w mieście na ulicach, po których kursują autobusy i tramwaje, by stopniowo przywykł do odgłosu syren, dzwonków i turkotu kół.

Na wsi można przeprowadzać pieska w pobliżu toru kolejowego lub szosy, po której jeżdżą samochody i fury. Gdy szczenię okazuje niepokój, chęć ucieczki, przytrzymujemy go na smyczy i uspakajamy łagodnie, później polecamy mu nawet siadać i czekać spokojnie, póki hałas nie minie. Można również w mieszkaniu stukać, np. uderzając batem w blat krzesła w pokoju, by przekonać malca, że wszelkie te odgłosy nie są dla niego groźne, by przywykł do nich i zobojętniał. O ile wychowanek zdołał dostatecznie opanować swą niecierpliwość i zdenerwowanie — co następuje po kilku tygodniach — rozpoczynamy nowe ćwiczenie.

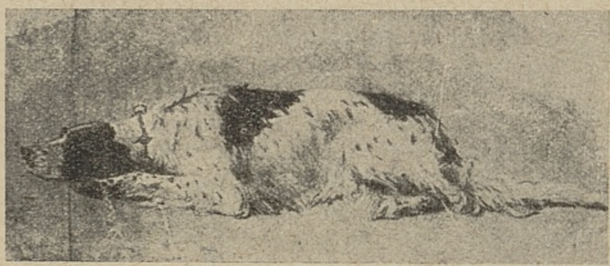
3. Chodzenie za nogą.

Przystępując do tego ćwiczenia bierzemy pieska na obróż ściąganą i smycz. Nie zważamy na okazywane początkowo wybiegi małego uparciucha, który często opiera się prowadzeniu na smyczy, zachęcamy, by szedł razem. Trzymając smycz w lewym ręku, prowadzimy psa blisko ścian w pomieszczeniu tresurowym, aby nie mógł wyprzedzić menera. Gdyby próbował wysunąć się naprzód, należy w celu zatrzymania go lekko nastąpić mu na palec przedniej łapy, a jednocześnie pogrozić batem (trzymanym w prawym ręku), pies mimowoli cofnie się na właściwe mu miejsce. Po pewnej wprawie przerabiamy to samo na środku izby tresurowej, stosując zwroty i lawirując ósemkami w różnym tempie szybkości. Doprowadzamy do tego, by pies dobrze to wykonywał bez smyczy. Na dworze staramy się iść wzdłuż płotów, ścian domów, ósemkować między drzewami itp. prowadząc psa zawsze przy lewej nodze. Jeżeli uczeń dobrze to wykonywa, trzeba go pochwalić.

Wymienione dotychczas ćwiczenia trzeba powtarzać do 6 — 7 miesięcy życia psa. Przy pierwszych lekcjach nie jest wskazana obecność ludzi, gdyż utrudnia to i przedłuża naukę. Chodzenie za nogą dla młodego pieska nie przedstawia wielkich trudności. Prowadzenie zaś psa luzem za nogą osiągamy przy częstym stosowaniu tego ćwiczenia, choćby na spacerach, przywołując psa, by część drogi szedł za nogą, co z czasem staje się dla niego przyzwyczajeniem. Dla starszych psów, o ile nie wystarcza obroża pętlicowa, stosujemy kolczastą.

4. Warowanie.

Po opracowaniu poprzednich ćwiczeń przechodzimy do warowania na rozkaz. Siedzącego psa trzymamy na obroży tresurowej i smyczy, którą lekko przydeptujemy i ściągamy do góry. Tym sposobem zmuszamy psa do położenia się, wymawiając przy tym dobitnie „waruj", po czym następuje cichy przeciągły gwizd. Gdy chcemy, by pies siadł z pozycji warowania, należy dotknąć jego przedniej łapy i ściągnąć smycz lewą ręką. Jeżeli uczeń widzi menera, powinien wykonać ćwiczenie na znak podniesienia ręki i rozkaz „waruj". Po wypełnieniu polecenia przestrzegamy ułożenia prawidłowego głowy i nóg psa. W pozycji warującej pies powinien leżeć, mając przednie nogi wysunięte i ułożoną na nich równo głowę. Tylne zaś nogi ułożone wzdłuż tułowia.



„Waruj — zostań!"

Zostawiamy psa w tej pozycji z początku na kilka minut, później do 15 i dłużej. Nie pozwalając psu się poruszać, zataczamy naokoło niego coraz szersze kręgi, wreszcie kładziemy smycz na podłodze i wychodzimy do drugiego pokoju. O ile po naszym powrocie pies zachowuje się poprawnie, zatrzymujemy go tak jeszcze chwilę, głaszcząc po głowie i dopiero po kilku minutach mówimy „siadaj". Kończymy lekcję na możliwie dobrym wyniku, w przeciwnym razie przeprowadzamy ją od początku. Powtarzać należy te ćwiczenia podczas treningu na dworze na smyczy, otoku lub bez nich, gdy elew osiągnie już wprawę. Warowanie jest niezmiernie ważnym ćwiczeniem w całokształtcie tresury i koniecznie trzeba, by pies wykonywał je sprawnie i szybko.

5. Czołganie.

Ćwiczenie to rozpoczynamy bezpośrednio po warowaniu. W początkach jest ono uciążliwe i niełatwe do opanowania, jednak konieczne dla psów, jako trening do wyrobienia mięśni, a dla myśliwskich psów ważne przy doprowadzaniu do zwierzyny. Stosuje się je czasem jako ćwiczenia karne, odbywane w jak najkrótszym czasie po ważniejszym przewinieniu.

Podczas pierwszych lekcji potrzebny jest ktoś do pomocy. Do takiego ćwiczenia używamy: smycz, otok, bat i obrożę tresurową. Psu rozkazujemy „waruj, idź,

naprzód", nie pozwalając się podnieść, następnie gwizdem przeciągłym i dotknięciem skłaniamy go, by poszedł naprzód. Pomocnik zaś trzyma psa na otoku i pociąga do siebie w miarę posuwania się psa. Po przeczołganiu podłogi do końca pomieszczenia — zawracamy. Tym razem mener odchodzi, bierze otok i pociąga nim, nie pozwalając mu wstać i zachęca do pełzania. Gdyby treser musiał przeprowadzać to ćwiczenie bez udziału pomocnika, powinien dla ułatwienia pracy wbić metalowe kółko lub skobel w listwę podłogi i przewlec przez niego otok, którego środek przywiązuje do obroży tresurowej. Odpowiednio do kierunku, w którym pies się czołga, ściągamy jeden lub drugi koniec linki, skłaniając psa do czołgania się naprzód lub z powrotem do menera, który może stać w miejscu. Na zakończenie lekcji pies waruje 15 minut. Po tym polecamy mu usiąść, chwalimy, o ile na to zasłużył i zaprowadzamy na miejsce.

6. Posłuszeństwo.

Nauka posłuszeństwa stanowi uzupełnienie dwóch poprzednich ćwiczeń, tj. siadania na rozkaz i warowania. Piesek łatwo przyswaja sobie sygnały tresurowe, jeśli są one racjonalnie i systematycznie stosowane. Małego pieska przywołujemy do siebie zwykle cichymi gwizdkami, w domu wystarczy ustami gwizd przez zęby. Specjalnie cicho gwiżdżemy, by w przyszłości, na swobodzie, w polu, na dużą odległość, pies na najcichsze gwizdki musiał reagować i wracać do pana. Dla szczenięcia należy mieć przygotowany przysmak i uraczyć nim malca, gdy przybędzie na wezwanie. Sygnały należy jednak oględnie stosować i nie przywoływać pieska bez potrzeby, gdyż wpływa to ujemnie na jego posłuszeństwo. Stopniowo, gdy piesek rośnie, nagrodę stosujemy co raz rzadziej, a po upływie pół roku przestajemy go częstować smakołykiem bezpośrednio po przybyciu na rozkaz (np. wzywając go na lekcję z posłania).

Gdy szczenię skończy 6—7 miesięcy uczymy je posłuszeństwa, wzywamy pieska „do nogi", a jeśli nie przybiegnie, zaraz po nieposłuszeństwie bierzemy swawolnika na otok i przerabiamy z nim ćwiczenia siadania i warowania w izbie tresurowej. Dajemy dwa ciche gwizdki i jednocześnie pociągamy ucznia na obroży tresurowej, by zrozumiał, że na sygnał ten natychmiast powinien przybyć do menera. Ćwiczenie to należy kilkakrotnie powtarzać, pamiętając o dwóch gwizdkach i pociągnięciu jednoczesnym elewa do siebie.

Na swobodzie, gdy piesek słyszy hasło, lecz biegnie w innym kierunku, wyraźnie okazując nieposłuszeństwo, należy zastosować tę samą metodę. Nie można chodzić za psem, usiłując go złapać, lepiej pozornie nie zwraacać na niego uwagi, a gdy sam się zbliży, wtedy bez ceremonii bierzemy go na smycz.

Pociągamy go na obroży tresurowej, a równocześnie przypominamy dwoma gwizdkami, że nie wolno ociągać się z przybyciem na sygnał. Po pewnym czasie sprytny kombinator zrozumie, że lepiej być posłusznym.

Wszystkie poprzednie ćwiczenia należy codzień lub co drugi dzień powtarzać, wymagając od elewa coraz więcej wprawy i dokładności.

7. Podawanie na rozkaz.

Dalszym etapem i prawie ostatnim zasadniczym ćwiczeniem tresurowym w domu jest podawanie przedmiotów na rozkaz. Do ćwiczenia podawania, które jest jednym z najtrudniejszych do opanowania, można przystąpić dopiero wtedy, gdy 6 poprzednich ćwiczeń pies dokładnie i chętnie wypełnia na polecenie menera, tak, iż podczas lekcyj istnieje pomiędzy elewem a treserem przyjazna komitywa.

W czasie tego nowego ćwiczenia szczególnie zalecane jest, by nikt nie przeszkadzał przy tresurze, póki pies nie osiągnie wprawy w spełnianiu rozkazów. Jak zwykle, przywołujemy ucznia dwoma cichymi gwizdkami i wziąwszy go na otok, trzymając w ręku podawkę, przerabiamy z nim łatwiejsze ćwiczenia, jak siadanie, chodzenie za nogą (podczas tych lekcyj staramy się bata nie używać). Polecamy psu usiąść i sami siadamy naprzeciwko niego. Przy podawaniu zwracać trzeba uwagę, by pies nie przygryzł sobie warg. Aby nauczyć trzymania przedmiotów, ujmujemy lewą ręką jego pysk od góry, uciskając palcami wargi, by otworzyć jamę ustną. Wtedy, mówiąc „weź", wkładamy mu prawą ręką podawkę drewnianą, lekką, grubości 1 cm. Chwilę przytrzymujemy ją w zębach psa, poczem równocześnie z wyraze „daj", wyjmujemy. Powtarzamy to kilkakrotnie, coraz lżej przytrzymując podawkę. Później przechadzamy się z psem, każąc mu nieść podawkę, chwalimy go za posłuszeństwo i to samo ćwiczenie stosujemy z grubszą podawką słomianą.

Po kilku dniach, gdy pies już przestanie wyrzucać podawki, zaczynamy dalszy etap ćwiczenia. Jak poprzednio siadamy naprzeciwko psa, trzymając zawsze smycz w lewej ręce, prawą przystawiamy do przednich zębów psa podawkę 1—2 cm. grubości, mówiąc „weź", a równoczesnym pociągnięciem smyczy sprawiamy, że uparciuch weźmie sam. Chwalimy go za to, po chwili ujmujemy podawkę (zawsze prawą ręką) z żądaniem „daj". Po kilkakrotnym spełnieniu rozkazu, okazujemy mu swoje zadowolenie i odsyłamy na miejsce.

Wreszcie przystępujemy do najtrudniejszego działu tresury, tj. podawania różnych przedmiotów z ziemi. Kładziemy przed psem tresurowy klocek, rodzaj dużej szpuli dług. do 25 cm., mówiąc: „weź". Lewą ręką pociągamy go na smyczy, starając się skłonić go, by sam wziął podawkę z podłogi. Gdy spełni polecenie, każemy mu potrzymać ją przez chwilę, uważając, by nie upuścił jej lub nie pogryzł. Psa trzymającego podawkę chwalimy: „tak, dobrze, trzymaj — lekko". Następnie ze słowem „daj" odbieramy klocek. Jeśli by pies nie chciał zwrócić podawki, wtedy mener wywiera palcami ucisk na jego górną wargę, przyciskając ją do zębów.

Po kilku dniach takich ćwiczeń pies napewno zdecyduje się brać i oddawać podawkę na rozkaz pana. Gdy już sam umie brać klocek, ujmujemy smycz w lewą rękę i oddalamy się, zachęcając pupila, by szedł za nami, niosąc podawkę. Spacerujemy po izbie tresurowej, uważając, by psu nie przeszkadzały niepotrzebnie stojące na drodze przedmioty. Po dobrym wykonaniu ćwiczenia głaszczemy psa i chwalimy, kończąc lekcję. W dalszym ciągu naszego ćwiczenia uczymy psa podnosić podawkę, leżącą w pewnej odległości od niego. W tym celu kładziemy ją o 1 metr, później o 2 metry od psa. Polecamy mu iść naprzód, wziąć podawkę i jak najszybciej wracać. Ponieważ pierwszy

raz nie zechce sam się zbliżyć, pociągamy go na otoku w stronę klocka i skłaniamy do podnoszenia. Stopniowo odległość zwiększamy. Psu rozkazujemy podnieść podawkę, a gdy wykona polecenie, największa trudność jest pokonana.



„Trzymaj — lekko"

Dajemy 2 ciche gwizdki i szarpnięciem otoka wskazujemy elewowi, by natychmiast do nas wracał. Później spacerujemy coraz szybciej i rzucamy podawkę, przechodząc zaś koło niej rozkazujemy „weź".

Gdy pies osiągnie pewną wprawę w podawaniu, zatrzymujemy go na połowie drogi do podawki przeciągłym gwizdkiem, rozkazując mu warować, po chwili poleceniem „naprzód" i „weź" wysyłamy go do podawki. Po spełnieniu rozkazu natychmiast 2-ma krótkimi gwizdkami przywołujemy psa do siebie. Próbujemy wytrącić mu podawkę, uderzając z lekka w nią palcami, a nie pozwalając upuścić, mówimy: „trzymaj".

Dalszym ciągiem tego działu jest podawanie ptaków wypchanych lub zabitych, zaczynając od gołębia, wrony, a kończąc na kaczce. Podczas pierwszych lekcji trzeba przywiązać ptakom skrzydła, ażeby przylegały do tułowia. Ma to na celu przyzwyczajenie psa, by chwytał ptaka prawidłowo, nie za lotki.

Trzeba też uważać, by pies nie ściskał zębami i nie szarpał zabitego ptaka. Przed ćwiczeniem podawania ptaków daje mener dłoń trzymaną poziomo, później złożoną (wielki palec schowany pod czterema pozostałymi), którą na rozkaz wychowanek wziąwszy, stara się trzymać lekko i nie gryźć. W ten sposób dajemy mu do zrozumienia, że przedmiotów podawanych gryźć ani szarpać nie wolno. Przy tresurze psów, zwłaszcza wyżłów, wskazane jest wyszkolenie chwytania za rękę powyżej dłoni i niegryzienia na rozkaz: „Chwytaj". Ma to zastosowanie np. przy zatrzymywaniu kłusownika, który, z obawy przed ugryzieniem przez psa, będzie się bał wyrwać mu rękę. Na polecenie „Puść" — pies uwalnia rękę. Po tych wprawkach podaje się psu ptaka w ten sposób,aby po słowie: „weź", ptak był schwytany kłami za grzbiet i za skrzydła.

Ostatnią serią tresury ze zwierzyną myśliwską jest przynoszenie wypchanej skóry królika, później zająca stopniowo obciążonej do wagi dużego 5-cio kg. szaraka. Od początku szkolenia należy zwracać baczną uwagę, by pies biorąc zębami królika lub zająca nie ciągnął go za słuchy lub skoki, nie szarpał skóry ani turzycy, lecz obejmował całymi szczękami po środku comber.

8. Szukanie i odnajdywanie zguby (z ziemi).

Opisane poprzednio ćwiczenie podawania rozszerza się i doskonali przy odszukaniu zguby. Zaczynamy lekcję w izbie tresurowej. Polecamy psu usiąść lub warować,starając się zwrócić uwagę ucznia na podawkę, którą trzymamy w ręku. Następnie wynosimy ją do następnego pokoju i tam zostawiamy. Wróciwszy do psa zachęcamy go do odszukania podawki, położonej na widocznym miejscu. W krótkim czasie, gdy praktykant nasz zorientuje się czego od niego wymagamy, dajemy coraz trudniejsze zadania, a mianowicie: kładziemy podawkę wraz z kawałkiem mięsa lub sera nie na podłogę, lecz wyżej, ażeby pies szukając zguby nie przyzwyczaił się węszyć przy samej ziemi. Stopniowo w tych ćwiczeniach umieszczamy podawki na takiej wysokości, aby pies, szukając, zmuszony był pracować węchem z podniesioną głową, wietrząc zgubę i przysmak. Po kilkakrotnym odnalezieniu i podawaniu przedmiotu otrzymuje pies w nagrodę znaleziony kąsek.

Gdy uczeń zaawansuje w tym ćwiczeniu, dobieramy takie podawki, które dają coraz mniejszy odwiatr, np. chleb z masłem, suchar itp. Wprawki te poza tym mają na celu przyswojenie pożądanego stylu przy szukaniu. Jest to zaleta wrodzona, lecz należy ją rozwinąć i utrwalić sposób szukania, t. zw. „górnym wiatrem". Najmniej chętnie podają psy metalowe i szklane przedmioty, jednak zaprawianie do tego przydaje się w praktyce.(patrz butelka, jako podawka z wody „Tresura w polu", cz. III).

Dobrze podającego już psa przyzwyczajamy do trzymania ciążków żelaznych (hantli), lub szpuli z nawiniętym drutem, obciążonych około 1 — 2 kg., następnie cięższych. Jeśli chodzi o szklaną podawkę, to może za nią służyć butelka w formie walcowatej, najpierw mniejsza, taka, którą pies obejmie szczękami.

W domu, na podwórzu, czy na wolnej przestrzeni staramy się planowo łączyć ćwiczenia trudniejsze z łatwiejszymi, uważając by zakończyć lekcję zadaniem, które pies chętnie spełnia. Coraz większy nacisk kładziemy na dokładne, szybkie i estetyczne wykonywanie ćwiczeń.

Jeżeli któregokolwiek dnia skonstatujemy, że nasz uczeń jest niedysponowany, wykazuje mniej chęci i wigoru, wtedy lepiej przerwać lekcję i poczekać do następnego dnia, a wynik z pewnością będzie owocniejszy.

Do sprawy tej odnosić się trzeba z punktu widzenia pedagogiczno-psychologicznego.

9. Skakanie przez przeszkody i podawanie.

Do tresury domowej można zaliczyć (indywidualnie stosując) — przeskakiwanie przeszkód.

Trening ten jest pożyteczny dla psa, gdyż chroni go przed zapasieniem oraz dodatnio wpływa na rozwój mięśni — muskulaturę. Umiejętność przeskakiwania przydaje się psu w sporcie myśliwskim przy podawaniu zwierzyny, przy czym nieraz musi pokonywać przeszkody , jak: rowy, opłotki, zwały drzewa itp. W celu nauczenia psa tego łatwego dość ćwiczenia, kładziemy krzesło lub ławkę na ziemi, przechodzimy przez to, trzymając psa na smyczy, jednocześnie rozkazujemy: „skok". Po tym zostawiamy psa siedzą-

cego, a sami przechodzimy przez przeszkodę, wzywając gwizdkiem elewa, by za nami podążył. Wreszcie skłaniamy go, by sam przeskakiwał przez krzesło lub ławkę tam i z powrotem, rozkazując mu: „naprzód, hop”, gdyby się opierał, pociągamy go na smyczy, stojąc z przeciwnej strony przeskakiwanego przedmiotu.

Stopniowo podwyższamy przeszkodę do wys. 1 metra i uczymy psa przeskakiwać z różnymi podawkami lub w celu przyniesienia tejże. Naogół psy chętnie przesadzają różne przeszkody, skacząc lekko i zwinnie.

10. Pilnowanie przedmiotów.

Pożądane jest, by pies zrozumiał, że jego obowiązkiem jest pilnowanie rzeczy pozostawionych przy nim. Wygodne to jest w podróży czy na polowaniu, by pies strzegł sprzętu myśliwskiego lub zostawioną zwierzynę. Zaczynamy lekcję od dyspozycji: „siadać”. Kładziemy przy psie rękawiczki, smycz lub torbę myśliwską i odchodząc rozkazujemy: „zostań”. Jeżeli pies jest nieposłuszny, bierzemy go na obrożę tresurową i długi otok przeciągnięty za drzewo, jeśli zaś w izbie tresurowej — za kółko umocowane w podłodze i ściągamy uparciucha otokiem do pozostawionych rzeczy, mówiąc dobitnie „waruj”. W ten sposób prędko osiągniemy dobry wynik.

11. Nauka nieprzyjmowania pokarmu od osób obcych.

Wychowanek nie powinien brać od osób nieznajomych smakołyków, aby uniknąć zbytniego spoufalenia. Podróżując w pociągu lub tramwaju spotykamy osoby, które nie życzą sobie zbliżenia się do nich psa, okazując przy tym wyraźnie niezadowolenie, inne, przeciwnie, przywołują go, aby pogłaskać i obdarzyć smakołykiem. Pies nie powinien brać pokarmu, który wolno mu tylko przyjąć od swego pana i domowników. Chcąc zniechęcić psa do przyjmowania kąsków od osób postronnych, wykonujemy odpowiednie ćwiczenia.

Zakładamy psu obrożę tresurową i trzymamy go na długim otoku. Do naszego faworyta zbliża się nieznajomy i daje jakiś przysmak, np. kawałek kiełbasy. Gdy pies chce to wziąć, nieznajomy uderza go różeczką, której pies nie powinien przed tym widzieć, a mener raptownie pociąga psa otokiem w swoją stronę, mówiąc: „obcy”. Powtarzając to z kilkoma osobami i stosując różne przysmaki, nauczymy psa, że nie wolno nic zjeść z ręki obcego. Ważną jest również rzeczą, by pies nie zjadał znalezionych resztek pokarmów, co może ujemnie wpłynąć na jego zdrowie. Chcąc tego uniknąć w przyszłości, prosimy kogoś, by rzucił na ziemię jakąś przynętę, a gdy smakosz chce ją podnieść, obcy człowiek powinien go ukarać mówiąc: „nie rusz”, „nie wolno”. Napewno z czasem cel osiągniemy.

12. Poprawa tresury starszych psów.

Chcąc skorygować i uzupełnić tresurę psów, które nie reagują na rozkazy i ignorują je, należy zacząć od przeprowadzenia podstawowych ćwiczeń, a więc warowania i posłuszeństwa (omawiane w art. p. 4 i 6). Gdy dojdziemy do pożądanego wyniku przy wykonywaniu tych ćwiczeń, możemy kontynuować układanie i korektę innych zadań tresurowych. Zależnie od wieku psa, z którym zaczynamy układanie, przeprowadzamy je w pewnych odchyleniach czasu, biorąc pod uwagę porę roku, sezon polowania, termin prób polowych itp. Przeciętnie dla psów, zaczynających tresurę, przewidziany okres trwania jej 4 — 5 miesięcy. Dla starszych psów, to zn. po roku życia przeprowadza się ją w szybszym tempie od 3 — 4 miesięcy. Praktyka jednak wykazała, że najlepsza tresura, pomijając jej metodę, nie wydobędzie z psa zdolności, jeśli nie posiada ich jako wrodzone walory.

Używane zwroty słowne przy tresurze, przeważnie obcego pochodzenia, starałem się wyrazić w języku polskim, jak np.: „weź” zamiast „pyf” od franc pille, „waruj” zamiast ang. „down”, „podaj” zamiast „aporte”, „idź” zamiast „aller” itp.

Poza tym słowa, którymi rozmawiamy, rozkazujemy,względnie strofujemy psa, są następujące: na miejsce, wstań, chodź tu, b. dobrze, tak piesku, siadaj, do nogi, za nogą, nie wolno, stój, wróć, zostań, trzymaj, daj, idź naprzód, pilnuj i inne.

Znaczenie wyrazów wychowanek przyswaja sobie stopniowo z postępem tresury.

Oczekujemy ustalenia przez specjalnie obraną komisję terminologii czysto polskiej dotyczącej psa.

(—) A. Brudnicki.

Komunikat Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego

Wobec zatwierdzenia w dniu 5.12.1947 r. przez władze nowego Statutu Polskiego Związku Łowieckiego, została opracowana przez Komitet Wykonawczy nowa aktualna instrukcja egzaminacyjna, której tekst podamy w najbliższym numerze »ŁOWCA POLSKIEGO«.

W związku z powyższym regulamin egzaminacyjny ogłoszony w »Kalendarzu Myśliwskim« na rok 1948 Polskiego Związku Łowieckiego, wydany przez Spółdzielnię »Jedność Łowiecka« — jest nieaktualny.

Druk i klisze — Wojskowy Instytut Geograficzny Al. Jerozolimskie 55. R. W. 928. — IV. 48. 25.000. —B—50340.

Poznańska Wojewódzka Rada Łowiecka

zawiadamia, że na podstawie § 17 Statutu wykluczyła ze składu Polskiego Związku Łowieckiego członków: Tyklewicza Stanisława z Zakrzewka pow. Szamotuły — za cyniczne kłusownictwo, oraz Stachowiaka Antoniego z Bukowca pow. Oborniki — za kłusownictwo w lasach państw. w czasie ochronnym z wciągnięciem do polowania osób postronnych.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO" W 1948 R.

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1948 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 1.000 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 600 zł. — otrzymują miesięcznik „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty. Pismo jest przesyłane przez Administrację „Łowca Polskiego" według adresów, dostarczonych przez Łowczych Powiatowych. O wszelkiej zmianie adresu należy powiadamiać kol. Łowczych bez zwłoki.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na poczcie na konto „Łowca Polskiego" w P. K. O. N I 1077 kwotę roczną 500 zł., bądź też w stosunku 50 zł. za jeden zeszyt.

Redaktor — prof. J. Gieysztor. Wydawca — Polski Związek Łowiecki.

Warszawa, ul. Nowy Świat 35, tel. 825-29.